Nr. 7. Lwów, Niedziela dnia 14. Lutego 1875 r. Rok II.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr., półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

LUŹNE UWAGI.

VII.

O SZERZENIU OŚWIATY POMIĘDZY LUDEM.

VI. Pozostaje nam jeszcze pomówić o tem, w jaki sposób znaleźć sobie przystęp do ludu, w jaki sposób rozszerzać oświatę. Przedewszystkiem należy pozbyć się wobec ludu tego pewnego tonu protekcyjnego, jaki zwykliśmy przybierać, przemawiając do chłopa. Zarazem unikać wypada drugiej ostateczności, jaką jest opuszczanie stanowiska swego, jako człowieka wykształconego i zniżanie się do ujemnych stron życia wieśniaków. To drugie gorszem jest jeszcze od pierwszego. Ktoby dla ujęcia sobie wieśniaka, szedł z nim do karczmy, ściskał się z nim kordjalnie, nietylko zaufania nie pozyskałby sobie, ale owszem spotkałby niedowierzanie i lekceważenie. Droga pośrednia najlepsza. Należy być wobec chłopa niewymuszonym, naturalnym, swobodnym, poważnym ale serdecznym, rozmownym ale nie wyzywającym do rozmowy.

Tym sposobem zyskuje się zaufanie u ludu.

W stosunkach wszelkich z ludem, należy jak najskrupulatniej przestrzegać sprawiedliwości, być rzetelnym, punktualnym i chętnym, jednakowoż nieustępującym zbyt łatwo. Lud jest niedowierzający. Jeżeli przy zawieraniu jakiegokolwiek interesu, spotka się z ustępstwami z łatwością mu czynionemi, traci zaufanie do osoby, sądząc, że skoro łatwo ustępuje, sama korzyść znajdzie w tym interesie największą.

Tyle pokrótce co do obcowania z ludem.

Książki i czasopisma najstosowniej rozszerzać w ten sposób, aby ich lud nie otrzymywał za darmo, lecz aby je sam sobie nabywał. Można wieśniakowi książkę pożyczyć, lecz nigdy darować. Najlepiej wpływać na rady gminne, aby pisma prenumerowały. Najczęściej wójtowie, a nawet w ogóle wieśniacy, troszczą się o to, jakie nowe wyszły ustawy, czy nie słychać o podwyższeniu podatków, o wojnie i t. d. Zwykle dopytują się o to nauczycieli, oficjalistów, a nawet właścicieli dóbr i proboszczów. Najłatwiej, w razie takich zapytań, wytłumaczyć wójtowi, że przecież wstyd wielki dla niego i dla gminy, że nie wiedzą co się dzieje w świecie, a dopiero pytać się o to chodzą do szkoły, do dworu, lub na plebanję. W szkole, we dworze i na plebanji, wiedzą o tem z gazet, to i wójt przecież powinien mieć gazetę, żeby od razu wiedział, jakie nowe wychodzą prawa i co w świecie się dzieje. Wójt bowiem, powinien o wszystkiem wiedzieć i wszystko umieć wytłumaczyć, gdyż jest najstarszym we wsi, i najpierwszym w niej urzędnikiem.

W razach takich, godzi się nawet użyć niewinnego podstępu, a to w ten sposób, aby zapewniać takiego wójta, n. p. w okolicy Tarnowa, że w innych stronach, jak koło Krakowa, koło Lwowa, już wszyscy wójtowie mają gazety, a ta okolica tylko taka ciemna i na wstyd się naraża wobec innych.

Mówiliśmy poprzednio, jak najpraktyczniej za wzorem proboszcza z nad Dunajca, zakładać biblioteczki gminne. Wykazaliśmy, że to możliwe, a że pożyteczne, o tem i mówić nie trzeba. Była także mowa o teatrzykach amatorskich, o prenumerowaniu pism ludowych dla karczem, słowem staraliśmy się dotknąć pokrótce wszystkiego, co z przedmiotem omawianym w związku pozostaje. Teraz kończąc pogadanki nasze, powtarzamy jeszcze: dobrej woli i wytrwałości, a oświata rozkrzewić się musi. Niezrażać się nam niczem, nie ustępować bez walki przed zakorzenioną ciemnotą, ale naprzód, pierś przy piersi w tej pracy, „ramię do ramienia,“ a tutaj zwycięztwo od nas zależy. Zwycięztwo zaś takie, to brama otwarta do lepszej doli na przyszłość. Zdaje mi się, że nie czczy to frazes, że nie ma w ziemiach polskich uczciwego i rozsądnego człowieka, któryby nie był zdania, że jedynie przez oświatę ludu, droga do lepszej dla narodu przyszłości.

Pismo nasze postanowiwszy wpływać na opinję publiczną przez wskazywanie dróg praktycznych, któremi kroczyć powinna, wróci nie raz jeszcze do tego przedmiotu, a bezustanne kołatanie nasze nie zostanie bez skutku. Tego jesteśmy pewni.

SERCE I RĘKA.

POWIEŚĆ PRAWIE HISTORYCZNA

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Gdy Radzca wszedł cicho do ogrodu, znalazł się w uliczce tak ciemnej, że z razu stał nie mogąc się rozpatrzeć w którą iść stronę, Przychyliwszy się nieco postrzegł na przestrzał światełko i skierował się ku niemu. Szpaler ten wyprowadził go do przestronnego parku... W lewo wyżej znacznie widać było szwajcarski szalet obrosły winem dzikiem i powojami, obszerny dosyć, który grzędy kwiatów opasywały do koła... Przestronno mu było na zielonych trawnikach w śród których grupami zwieszały się wierzby, rosły jodły, ściskały się klomby drzew najrozmaitszych... Wszystko to zdało się lecieć po stoku wzgórka ku dolinie, ku rzeczce, ku jezioru... Ogród, o ile w brzasku rannym dojrzeć można było, starannie był bardzo utrzymany. Stoły i ławy kamienne, altany ozielenione roślinami pnącemi, grzędy kwiatów, scieżki żwirem powysypywane wyglądały świeżo i ładnie. Czuć było, że tu ktoś mieszkał, żył i chciał aby mu się śmiała ta ustroń.

Radzca powlókł się spoglądać ku domkowi, trochę pod górę, pomyślał, obejrzał się w około — znalazł pod starą lipą naprzeciw okien domu ławę kamienną i usiadł na niej.

Oczy wlepił w okna pozamykane okiennicami, zadumał się, czy zamodlił — podparł na łokciach — czekał.

Dzień rosnął i z szarych powić wychodziły barwy jego z kolei, niewyraźne kształty oznaczały się coraz dobitniej — ale cisza nocy panowała jeszcze do koła...

Na niebie gasły gwiazdy, chmury wiatr zachodni spędzał, jak gdyby gospodyni zamiatała niebo dla dnia nadchodzącego... wy-

jaśniało się... Na wschodzie zaróżowiało, pomarańczowe pasy, sine chmury.... białe promienie blado zwiastowały, że tam gdzieś już słońce wschodzi... Tu w dolinie mrok jeszcze panował. Rosy okrywały trawy i drzewa... Budziło się ptactwo i szczebiotało... Koło domku pusto było... nikogo. — Z boku przesunął się ktoś krokami cichemi... i znowu milczenie... Jak martwy siedział ojciec nieruszając się, nawet zapłakać nie mógł, lecz ktoby twarz jego zobaczył, przeraził by się jej wyrazem. Tylko przy trumnie ukochanej istoty taka twarz się spotyka...

Ranek zwiastował się prześliczny...

Po długiem oczekiwaniu sługa przesunęła się po galerji drewnianej domku i otwierać zaczęła okiennice... Z wewnątrz ręka jakaś — popchnęła okno.... biała firanka na pół wychyliła się w ganek. Drzwiczki się rozwarły na galerję i wysoka postać w bieli wyszła rozpatrując się do koła....

Była to Olimpja... Czarne warkocze związywała, aby je zarzucić na szyję. Ojciec widział ją, a powstać nie miał mocy... Siedział o kroków dziesięć od niej, serce mu biło...

Chciał porwać się, skoczyć i żal okrutny ścisnął pierś — jakże jej przerwać tę chwilę tak ciężką, tak jeszcze szczęśliwą, takim gromem...

Olimpja nie widziała go... Oglądała się do koła, przychyliła do kwiatków stojących w ganku, zdawała się rozmawiać z niemi... potem spojrzała w dal... i uśmiechnęła się smutnie.

Radzca ruszyć się nie śmiał... był by tak patrzał, patrzał — bo zdało mu się że dziecko widzi szczęśliwem.

Wiekiem zdawała się ta chwila.....

Olimpja nagle rzuciła wzrok na ławę pod drzewo... ujrzała siedzącą postać, skoczyła w tył przerażona i natychmiast znowu porwała się naprzód... Otwarły się jej ramiona — Ojciec! krzyknęła... i padła.

Szczęściem osuwając się chwyciła gałęź powoju i z lekka obaliła się na ławkę blizko stojącą. Radzca biegł już na ratunek, lecz z domku już wychodził przestraszony mężczyzna wysokiego wzrostu z siwym włosem spiesząc na pomoc... Prawie razem zeszli się przy na pół omdlałej — Radzca ręką go odsunął...

— Ojciec jestem — rzekł...

Olimpja otworzyła oczy.. i uklękła u kolan ojca ściskając je w milczeniu. Była chwila twardego, strasznego — zwątpienia, trwogi z obu stron. Ojciec odezwać się nie umiał, ta, nie mogła. Łkanie tamowało jej głos... W twarzy starca znać było nie gniew i surowość sędziego nieubłaganego, ale politowanie rodzicielskie. Siadł nie mogąc się na nogach utrzymać i oczy zakrył. Olimpja ciągle u kolan jego klęczała.

— Nie pytaj mnie jak tu przyszedłem nie mów mi nic — począł po chwili — ja wszystko wiem...

— A! ojcze — ty nie wiesz nic! ty nic nie wiesz — jam niewinna! Jam go kochała, jam mu ślubowała, jam z nim żyła... jam była w przódy jego żoną nim mi kazano zostać żoną tego — tego człowieka... Chcąc go odepchnąć, odstręczyć — powiedziałam mu wszystko, wszystko.... Kazałam ten pierścionek.. jego... zamienić ze mną przy ołtarzu — zapowiedziałam mu, że jeśli w życiu kiedy spotkam tego którego czuję się żoną — pójdę za nim... Czegóż chce ten człowiek odemnie? Czyż możesz, ojcze mój, dziecko swe skazywać na śmierć, na męczarnie... Czyż ty się nie ulitujesz nademną?

I błagając go tak, głowę na jego dłonie złożywszy — płakała...

Ojciec siedział niemy..

— O mój Boże! zawołał cicho — świat! a ludzie — a niesława! a imię nasze, niepokalane... Ważyłaś że ty to wszystko?

— Ojcze — jam kochała..,

— Imię nasze! stare, czyste... wszak ono nie było własnością naszą ale spadkiem który miał tak niepokalanym zejść na przyszłe pokolenie jakeśmy go odebrali.!! Szyderstwo ludzi. Olimpjo! wiesz ty co to na starość nosić tę odzież galernika z piętnem na sercu? ona dziś mnie przystała. A tyś ją włożyła na mnie.

— Ojcze nie mów!

— Szczęśliwym będę, jeśli tego nie przeżyję... na czole srom.... pali... pali mnie. . Ojcowie i dziadowie upominają się u mnie, u ciebie o sławę rodu i domu... Myśmy go skalali rozpustą... ten święty dom który mógł być kościołem... Dziecko moje, płacz— płacz... nie mamy oboje dosyć łez do zmazania tej plamy!

Olimpja podniosła się z ziemi powoli.

— Więc wyrzecz się córki—rzekła— więc nie miej dziecięcia — odepchnij — za cóż ty masz cierpieć za mnie. Zlej to imię na kogo chcesz, przybierz obce dziecię, ja pójdę w świat.. ale serca nie odbiorę, ani przysiędze nie skłamię... Ten człowiek zawierzył mi, cierpiał dla mnie... On nie był winien, jam sama winną była — ja tylko... karzcie mnie... A! już i tak dosyć ukaraną zostałam...

— Dla czegóż nie miałaś ufności we mnie? — mówił stary — czemuż mnie nie wyznała wszystkiego, byłbym tych ludzi precz odpędził, jak zasługiwali, byłbym cię do serca przycisnął i przebaczył i...

— Mój ojcze! miałamże obwinić matkę, zatruć spokój tobie? Jam sądziła, że on nie żyje, że ja umrę prędko, chciałam spełnić wolę twoją. Oszukiwałam cię dla szczęścia twojego — poświęciłam się dla ciebie....

Radzca zmilczał, głowa zwisła mu na piersi — myślał...

— Wszak nie oszukiwałam nikogo, — dodała Olimpja — oprócz ciebie jednego ojcze... a ty winieneś mi przebaczyć... ten człowiek zimną rękę moją zaślubił cudzym pierścieniem... wiedział co go czekało — pogarda.., I każesz mi wrócić do niego i żyć z nim a raczej umrzeć — bo żywa nie wrócę.!!...

Ojciec podniósł oczy na nią..

— Nie — zawołał wstając — niech ludzie sądzą o mnie i o tobie jak chcą, ja ci nie odbiorę szczęścia... Zostań z tym którego ci los wyznaczył!! Bóg z wami...

Córka już była u nóg ojcowskich, a przy niej klęczał już z siwemi włosy mężczyzna i całował rękę starca, który się w niego w patrywał z ciekawością i przestrachem...

— Patrz te siwe włosy... to pamiątka tego dnia gdy nas rozdzielono... On mnie tak kochał... ojcze!

Olimpja rzuciła mu się na szyję. Radzca zsunął się zwolna na ławę, szepcąc może po cichu błogosławieństwo...

Tak ta groźna scena, której wypadek wcale zapewne inaczej obrachował sobie Szambelan, skończyła się miłosierdziem i szczęściem... Olimpja przytuliła się do ojca, odrodzona, rozpromieniona...

— Daj nam tu długo pozostać — szepnęła — ludzie o nas zapomną... Rozwód będzie łatwym, Baron nigdy nie był mężem moim .. My tu zostaniemy w tym kątku.... a potem wrócimy gdy burza przewarczy i minie.

Olimpja tak miała wiele do opowiadania, Radzca tak wiele obmyśleć musiał i z tylu następstwy oswoić się, że godziny biegły niepostrzeżone...

Tym czasem na placyku Szambelan w cieniu owych przepysznych lip i platanów zębami dzwonił, spoglądając na zegarek. Co chwila spodziewał on się wezwania, tragicznej sceny, jakiegoś okropnego przejścia... rozwiązania dramatu. Ale furtka stała zamknięta i milczenie złowrogie panowało do koła. Słońce weszło i major Redke pił już drugą kawę w oberży, — Au bon pasteur, nie daleko z tamtąd stojącej. Konie były popasione, ludzie spali poobwijani w kołdry.... Z willi znaku życia nie dawano. Szambelanowi zdało się to i nienaturalnem i w końcu obrażającem... Godziłoż się tak o nim zapomnieć, o nim, który w tem wszystkiem najgłówniejszą odegrał rolę. Gniewny, niespokojny, zrozpaczony w końcu, gdy już godzina dziesiąta biła na dalekim kościółku, postanowił uczynić krok stanowczy.

Redke mu powiedział, że willa miała z drugiej strony wnijście urzędowe, do którego przecie można było zadzwonić i dodzwonić się kogoś a powziąć języka...

Całonocną trwogą znękany, Szambelan postanowił dobić się w końcu do jakiejś pewności otrzymanego rezultatu... Szarpnął więc za dzwonek z całej siły, raz, drugi i trzeci dając czuć, że Szambelana i Radzcę stanu tak w pośród drogi rzucić na łup chłodowi poranka, było zbrodnią stanu. Na głos od furtki, bardzo powoli przyszła kobieta i przypatrzywszy się dzwoniącemu zapytała, czego chce. Zły był nasz dygnitarz. Wyciągnął z kieszeni bilet ze wszystkiemi tytułami swemi i oddał go słudze, prosząc, aby stary pan dziś przybyły, był łaskaw wyjść się z nim rozmówić.

Dobry kwadrans chodzić musiał przed drzwiczkami których mu sługa nie otworzyła.. nim się doczekał odpowiedzi. Radzca powoli sam szedł ku niemu. Kazał furtkę otworzyć.

Nim zamienili słowo pierwsze Baron wlepił zwrok ciekawy w niego usiłując odgadnąć, co się stało. Czy ów gach uciekł, zabity, aresztowany, czy Olimpja jest, czy z nim uszła... czy niema krwi rozlewu i trupa? Radzca miał nadzwyczaj uspokojone oblicze, co Szambalana zdziwiło tak, iż wchodząc do ogrodu języka zapomniał, pytać już nie śmiał.

— Więc... więc cóż się stało! co się

stało? począł bełkocąc, zebrawszy się nie rychło na słowo...

Załamał ręce, wlepił oczy...

Radzca obojętnie dosyć zwrócił się ku niemu zwolna.

— Nie stało się, dzięki Bogu, nic — widziałem się z córką...

— A ten — uwodziciel? uszedł?

— Nie.

— Jakto? związany?

Radzca zwrócił się znowu spokojnie do Szambelana. — Są rzeczy i fakta które los narzuca, i które przyjąć jest musem... Córki szczęścia nie mogę poświęcić ani obmowie ludzkich języków, ani chęci dotrzymania umowy, która od razu była niemożliwą. Ja o niczem nie wiedziałem, dziś gdy na mojem sumieniu sprawa... nie mogę jej za wami rozsądzić!

— Jak to? krzyknął Szambelan ze złością, pan myślisz nam dać odprawę?

— Tylko cicho, — chmurząc brew odparł stary — tylko cicho i spokojnie.

— I pan myślisz, że my damy się tak puścić z finfą nie narobiwszy hałasu i nieroztrąbiwszy tej pięknej historji na cztery rogi świata?

— W tej w istocie pięknej historji, może niekoniecznie piękną być rola pana Zygmunta — przerwał Radzca kładąc dłoń na ręce szambelana — Ale dość, tu nie miejsce ani czas mówić o tem. Zdaje mi się, że potrafimy załatwić to tak, abyście niepotrzebowali hałasować i procesować się. Są na to sposoby i na wszystko kompensaty...

— Przepraszam pana Radzcę — sucho odciął się Baron, który czuł że dla targu lepszego należało się bardzo twardym okazać — są rzeczy, drogie święte... których straty niczem się kompensować nie dają. Przyszłość Zygmunta złamana, starość moja nieszczęśliwa, srom przed ludźmi... a! panie! to są rzeczy nie mogące wynagrodzić się niczem.

Szambelan wymówił te wyrazy z takim zapałem, czułością, przejęciem, iż sądzić można było, że w istocie tak myśli.... Radzca uczuł nad nim politowanie.

— Panie Szambelanie,—począł po chwili — w tej bolesnej dla obu rodzin sprawie, obu nas Bóg dotknął, i ja — i ja mam niepowetowane straty — i mnie serce się nie rychło zagoi... Nie krwawmyż ran naszych— starajmy się wzajem ulżyć sobie a nie utrudnić rozwiązania...

— Jakto? więc pan postanowiłeś?

— Postanowiłem żądać rozwodu i córkę oddać temu, który ją kochał, którego ona kochała...

— My się na rozwód nie godzimy...

— Lecz ślub — nic nie znaczy gdy pożycia nie było...

— Przecież razem z sobą spędzili kilka tygodni? — odparł Szambelan.

— Waćpan wiesz najlepiej jakie to było pożycie? nie kłóćmy się o słowa... nie myślcie mnie zastraszyć... nie bądźcie gorszymi, niż was sądzę...

Baron bardzo indyczą minę zrobił. Stał, nie mogło mu się to jeszcze w głowie pomieścić, jakim sposobem ów człowiek tak przebiegły, polityk i dyplomata, mógł całą sprawę z niezmierną prowadząc biegłością, doprowadzić do tego ażeby sam własną ręką przyprawił sobie takiego nosa. On bowiem wyszukał zbiegłych, on odkrył Radzcy tajemnicę, on go do podróży skłonił, wiózł, prowadził — ułatwiał... aby za to wszystko dostać tak bolesnego odkosza. Niedosyć że tracił owoc tylu zabiegów, sam jeszcze musiał przyspieszyć to fatalne zakończenie.

Miłość własna jego cierpiała okrutnie.

— Panie Radzco, zawołał dumnie, rzeczy na tym stopniu stanęły — iż rozmowa do niczego nie prowadzi... Zygmunt i ja nie damy się lekko odprawić, tam gdzie słuszność prawo, świętość przysięgi za nami... Weźmiemy cały świat na sędziów... Zygmunt też może obrać inną drogę, za którą nie ręczę by jej nie przeniósł nad inne... Potrafi się z bronią w ręku o obrazę osobistą upomnieć, a wówczas — zobaczymy kto na placu zostanie, bo jeden zostać musi... Honor naszej familji...

Radzca patrzał nań, słuchał, ale tak jakby to na nim żadnego nie czyniło wrażenia.

— Dziś w wieczór, rzekł, czekam pana z synem lub z pełnomocą od syna w hotelu — tam skończymy — lub... lub — jak się podoba.

To mówiąc skłonił się i nieoglądając poszedł zwolna ku domkowi. Olimpja ukryta w klombie nań czekała.

Szambelan butnie rzucił się do furtki, i wychodząc tak nią zatrzasnął że kawałki z muru powylatywały.

Wróciwszy do powozu kazał zaprzęgać natychmiast i nieodpowiadając nawet na pytania Redkego — wściekły kazał się wieść do Genewy.

Major po części się domyślał co zaszło, a w części rad był złemu humorowi Szambelana, wnosząc z niego, że sprawa nieskończona, a on może mu być jeszcze potrzebnym.

* * *

Nigdy w życiu baron Dobiński nie był nieszczęśliwszym, — nim dojechał do miasta, przeklął stokroć dzień swych narodzin i losy swoje...

— Głupcom się tylko powodzi, z goryczą mówił, w duchu — tak! oni jedni są szczęśliwi — wyższych zdolności ludzie zawsze tak jak ja wychodzą... Za nic najrozumniejsze kombinacje! Mogłaż być lepsza! Wziąć pannę z takiego domu która potrzebując pokryć grzeszek młodości — staje się przez to zależną, wdzięczną... Zdawało się, że i dobra na imię nasze przejdą i szczęście zakwitnie... Wszystko jak najpomyślniej idzie! trzeba żebyśmy trafili na taką wyjątkową miłość, wyjątkowe istoty jakby z romansu, i żeby ten dudek wybrał właśnie Genewę i przyniósł sam kochankę w objęcia tego jegomości... To tylko mnie się trafić mogło! Najrozumniejsza kombinacja moja z ojcem w łeb bierze.

Ale nie — dodał w duchu — stanę nieubłagany, jak skała — nie chcę rozwodu! Niech Zygmunt go wyzywa!! kto wie, strzela tak doskonale... jedna kulka wszystko naprawić może... Przecież wyzwany wyjdzie.

— Panie Majorze — odezwał się nagle... proszę kazać jechać na pensją pani Belli do mojego syna.

— Przecież to z drugiej strony jeziora! Musimy przebyć całe miasto...

Szambelan rzucił się wgłąb powozu... Zmęczenie całonocne silniejszem było nad niecierpliwość barona, zgodził się więc zajechać do hotelu. Tu musiał jeszcze zlikwidowane przez majora koszta z własnej kieszeni zapłacić... I to gryzło. — Majora odprawił w końcu i został sam nie spiesząc ze złemi wiadomościami do syna. Czasu do wieczora było dosyć.

Pan Zygmunt w ogródku pędził znowu rozkoszne godziny w towarzystwie swych współpensjonarzy, gdy ojciec sztywny, zły, wyprostowany niezmiernie, co zawsze humor niedobry oznaczało, wpadł do niego, ledwie skinieniem pozdrowiwszy towarzystwo.

Syn, który dobrze znał ojca, z twarzy zaraz wyczytał, że się coś święci nie po jego myśli. Z przyjazdu już wnosił, że zaszły jakieś nowe okoliczności tyczące się zapewne niefortunnego małżeństwa, które dlań teraz było obojętne i wstrętliwe. Wstał więc przerywając rozmowę z piękną angielką i poszedł naprzeciw szambelana, który wziąwszy go na stronę udał się z nim milczący do ogródka.

— Dziś, rzekł stając w cieniu akacji, mogę ci już powiedzieć wszystko...

Zygmunt zaczął obcinać cygaro, ale się wstrzymał poglądając na ojca...

— Mojem staraniem, co mnie, mówiąc nawiasowo, nie mało kosztowało, wynaleziono schronienie Olimpji i tego awanturnika. Dano mi znać... Co było począć! Sprowadzić na nią matkę? do niczego — gwałtem odbierać? skandal... Wyrozumowałem sobie, że ojcu trzeba wszystko wyjawić.

— Ojcu! krzyknął Zygmunt.

— A tak! ojcu! I powiedziałem otwarcie jak rzeczy stoją. No — scenę miałem... powiadam ci.. Udawał rzymskiego senatora! Ale zdecydował się jechać sam ze mną... W drodze milczał jak pień, nie jadł — wodę pił tylko i modlił się. Ledwieśmy przybyli do Genewy, niedawszy mi tchnąć, spocząć, natychmiast kazał jechać do córki. Byłem najpewniejszy, że powagą ojcowską sprowadzi ją na drogę obowiązku. Ale rozgadać się z nim ani myśleć... Wszystko było tak ułożone, żem go do furtki ogrodu przywiózł, oddałem mu klucz... sam zostałem na straży.

— Daleko ztąd! — spytał Zygmunt sucho.

— Parę godzin drogi, po drugiej stronie jeziora, w parowie głębokim skryty domek... O! nie łatwo ich było tam dośledzić, ale major sprytny człowiek... choć drogo sobie za wszystko płacić każe... Poszedł — Było to o brzasku dnia... Czekam godzinę, dwie, trzy... Przyznam się, że byłem w obawie jakiej tragedji — stoję, chodzę, zmarzłem, wygłodniałem jak pies. Nic — ani wieści, ani słychu!! Naostatek niecierpliwość mnie porywa — co u kata? jak lokajowi mi kazać stać na gościńcu czekając na zmiłowanie... Dzwonię do furtki... łomoczę... Zjawia się sługa. Daję mój bilet... Nierychło wychodzi stary, ale, powiadam ci jakby z dobrego objadu wracał, spokojniuteńki. We mnie wszystko się przewraca, przyskakuję... pytam... Radzca mi odpowiada z najzimniejszą

*

krwią, że musi się poddać wyrokom opatrzności, że mu idzie o szczęście córki, że małżeństwo wasze i tak nie ważne... i że je rozerwać należy.

— A to, paradnie! — zawołał Zygmunt.

— Jak to paradnie? — odparł oburzony ojciec — ja na to nigdy nie pozwolę! Ja tego nie dopuszczę! Ja z siebie i z ciebie żartować nie dam...

— Kochany ojcze... na honor, nic szczęśliwszego trafić mi się nie mogło. .

— Co ci jest? ja cię nie poznaję? — ofuknął Szambelan.

— A! małżeństwa tego mam dosyć — rzekł Zygmunt... — dziękuję! Ożenię się z angielką i...

— Z jakąś awanturnicą, żeby było drugie małżeństwo z pierwszem do pary — zawołał Szambelan — przepraszam, z tego nic nie będzie. Jesteś żonaty, stoję przy tem. Trzeba iść i wyzwać tego łajdaka i — zabić.

— Za pozwoleniem, kochany ojcze — począł Zygmunt obojętnie — naprzód że się to na nic nie zdało... Olimpja żyć ze mną nie zechce...

— Nie idzie o to żeby żyła, ale żebyś miał jej majątek...

— Radzca majątku nie da — dokończył syn — a ja ani się bić, ani się dobijać, ani kroku robić nie chcę i nie będę. Chcą rozwodu — dobrze! przystaję, bylebym był wolnym...

Strzepnął rękami.

— Cicho! cicho! pleciesz jak dziecko — pospieszył ojciec — to nie ma sensu! Gdybyś nawet w duszy tak myślał, okazywać im taką gotowość jest to samemu się rabować. Trzeba się trzymać już dla tego samego, aby nam zapłacili za to czegośmy się napili — z ich łaski.

Zygmunt się uśmiechnął patrząc na ojca, który to mówił, jakby najgłębiej był o tem przekonany.

— Ojcze dobrodzieju — ale czyż z ich łaski? czy z ich łaski? Wszak doskonaleśmy znali towar, kupując...

Stary skręcił się na nodze.—A! co mi ty tam pleść będziesz. Cóż? chcesz żebyśmy im pokłonili się jeszcze, że nam sznurek z szyi zdejmują?

— Nieledwie — rzekł Zygmunt. Już mam tej niefortunnej spekulacji twojej kochany ojcze — do zbytku.

— Mojej spekulacji? — podchwycił obrażony ojciec — ale ty do niej całem sercem przylgnąłeś, tyś prowadził sprawę... tyś się do starej umizgał, tyś Olimpji dozwolił cudzym pierścionkiem się zaślubiać i przyrzekłeś jej heroicznie, że będziesz grał głupią rolę kamerdynera!! Pozwól sobie w dodatku powiedzieć, że dwa tygodnie jeździłeś z nią... nie umiejąc z tego korzystać! a toż trzeba ostatniego... trutnia... Słowo dane! Co znaczy takie słowo! Miałeś prawa i nie użyłeś ich... Kto tego piwa nawarzył...? Twoje niezgrabstwo... O! o! inny na twem miejscu byłby sobie poradził!!

Zygmunt słuchał cierpliwie.

(D. n.)

PRZYCZYNKI
do
ZNAJOMOŚCI TATR.

Podał
Dr. E. Janota.

(Dokończenie.)

O stanie rzeczy po stronie węgierskiej doniesiono mi zeszłego lata kilka zajmujących szczegółów z Lewoczy. Zarządca Szczaw sławkowskich, Edward Maly, przed pięciu latmi kazał przynieść dwie rodziny świstaków z Dziumbira w Niżnich Tatrach i wypuścić je na pięknej kwiecistej polanie Kwietnikiem[1] zwanej w dolinie Wielkiej, gdzie dotąd istnieją, a młode ich według zapewnienia Polacsayskiego, leśniczego Schiffla, przeniosły się już na stronę północną głównego grzbietu Tatr. Według doniesienia Pitza, nadleśniczego skarbu hradeckiego w Wychodnie, przed czterma latmi zjawiły się w dzikiej dolinie Koprowy trzy rodziny świstaków. Schroniły się one tutaj prawdopodobnie z doliny mięguszowieckiej, gdzie je prześladowano. Pan Pitz wziął te zwierzątka w swoję opiekę, i otóż miały one już nieco rozmnożyć się nietylko w dolinie Koprowy ale i w sąsiedniej dolinie Cichej. W tej także okolicy Tatr obecnie najwięcej ma być kozic (200!?).

Wyraziłem powyżej myśl, że zabezpieczenia kozic i świstaków tatrzańskich od zupełnej zagłady każdy prawdziwy miłośnik tych pięknych, aczkolwiek w małej tylko części do nas należących gór i przyrody ojczystej tem więcej życzyć będzie, gdyż pomienione zwierzęta są prawdziwą ich ozdobą, szkody najmniejszej człowiekowi ani nie wyrządzają, ani nie mogą wyrządzić, a zabijanie ich ogółowi żadnej, tępicielom zaś prawie żadnej, a przynajmniej żadnej stałej nie przynosi korzyści. Uczyniłem dalej uwagę, że polska część Tatr mogłaby się stać dla tych zwierząt tem łatwiej rzeczywistem przytuliskiem, gdyż ustawa bierze je w opiekę, przeciwko której tem mniej należałoby mieć co do zarzucenia, gdyż dosyć jest podobnych ustaw wydawanych w rozmaitych stronach krajów alpejskich i indziej, nie dopiero w najnowszych i w naszych czasach, ale kilkanaście, kilkadziesiąt, a nawet kilka set let wstecz, dla ocalenia od zagłady rozmaitych zwierząt. Przytoczę choć kilka przykładów. W r. 1612 pod karą 50 czer. zł. zakazano polowania na koziorożce w Gryzonji[2], a 1821 r. rząd piemoncki zakazał pod surową karą polowania na nie w Alpach piemonckich. Żubra ochraniały w puszczy białowieskiej rozporządzenia rządu rossyjskiego. I łoś dawno byłby wyginął w Prusiech wschodnich, gdyby go królowie pruscy nie byli brali w opiekę. Tak król Fryderyk II rozporządzeniem z 13 lipca 1764 polecił na wniosek łowczych królewskich wszystkim urzędom, aby nakłaniały szlachtę, której służyło prawo polowania na łosie, do zupełnego zaniechania tych polowań aż do św. Michała 1767. Król Fryderyk Wilhelm II (1786 — 1797) kazał je ponownie oszczędzać przez lat sześć z tem wyraźnem zastrzeżeniem, ażeby przez ten czas nie dostarczono ich nawet do kuchni królewskiej. W Norwegji kto bez pozwolenia zabije łosia, płaci 60 talarów kary. Co do bobra, król pruski Fryderyk I rozporządzeniem z 16 kwietnia 1706 nakazał utrzymanie i rozmnażanie bobrów, a rozporządzenism z 16 kwietnia 1706 nakał utrzymanie i rozmnażanie bobrów, a rozporządzeniem z 16 sierpnia tego samego roku (1706) zakazał burzenia słobód ich w jeziorach, stawach, oparzyskach i rzekach dóbr królewskich, niemniej zastawienia żelazek, więcierzy i innych sieci, wycinania pobliskich zarośli, ścigania bobrów na czółnach i strzelania za niemi po rzekach. Za zabicie bobra płacono 10 czerw zł. kary. Nad Łabą ochraniały bobrów ustawy łowieckie aż po rok 1848. Małem żeremieniem w okolicy miasta Wörlitz opiekował się książę askańsko-desawski. W r. 1854 c. k. rząd austrjacki i bawarski wzięły w opiekę bobry przebywające w dwu Sołach czyli Solicach[1]. W zeszłym wieku zaś, za arcybiskupa solnogrodzkiego Hieronima, za samowolne zabicie bobra płacono 50 złr. kary; na wypadek niemożebnego złożenia grzywien szedł winowajca na lat cztery do milicji, a gdy się okazał niezdatnym do służby wojskowej, na lat dwa do domu robocego, zarazem tracił prawo do prowadzenia rzemiosła i przebywania w księstwie. W Galicji, za staraniem Hacqueta, w ostatniem dziesiątku zeszłego wieku gubernium zabroniło polowania na bobry w dobrach rodatyckich. Dotrwały one tutaj do r. 1852. Co do kozic, w kantonie Glarus w Szwajcarji już w 15tym wieku w górach między rzeczkami Linth i Sernft na żadną zwierzynę ani polować ani z strzelbą pokazywać się nikomu nie było wolno. Kanton utrzymywał ośmiu zaprzysiężonych strzelców, którzy między św. Jakóbem a św. Marcinem każdemu obywatelowi kantonu, odprawiającemu w tym czasie wesele, dostarczyć mogli dwóch kozic, prócz tego dostawał jednę rocznie landamman a dwie rządzący burmistrz. Zresztą i pomienieni strzelcy nie śmieli się tknąć żadnej zwierzyny w zatyczonej dzielnicy. Istnieje ona dotąd[2]. W Styrji arcyksiążę Jan ocalił kozice od zagłady. Zapewniono im przytulisko w wierchach Hochschwab. Rozmnożywszy się tutaj rozpostarły się już aż do Góry śnieżnej[3] na przestrzeni $6^3/_4$ mil w kierunku prostym, przebywają stale w Głognicy między Semeryngiem a Nowem Miastem[4], a pojedyńcze okazy zjawiały się nawet już w okolicy Wiednia. Wtórem ich gniazdem stołowe dobra cesarskie koło Ischl. Również zmarły król bawarski zapewnił kozicy przytulisko w dobrach skarbowych solnych[5]. W Szwajcarji wykopywanie świstaków prawie we wszystkich kantonach jest zabronionem, i to słusznie, powiada Tschudi[6]. O czem wszystkiem wiedziećby także mogli niektórzy posłowie sejmu naszego. Tutaj zaliczyć należy ustawy rybackie, łowieckie, np. najnowszą i wyborną pruską, ustawy ochraniające ptactwo pożyteczne w gospodarstwie polnem, leśnem i t. d., ustawy przeciwko dręczeniu zwierząt. Jeżeli zaś ustawy takie nie zawsze lub nie wszędzie pożądany odniosły lub odnoszą skutek, nie przemawia to bynajmniej przeciwko nim, lecz przeciwko lekceważącym je i nie dbającym o nie.

Jeżeli zatem także ustawa biorąca w opiekę nasze zwierzęta halskie, najwięcej takiej ochrony potrzebujące, nie przyniosła dotąd pożądanych skutków to wina ustawy. Że ustawa jaka idzie w zapomnienie, że się nie dba o tem, aby jej

[1] *Blumental* 1769·42 m. npm.
[2] *Graubünden.*

[1] Salza i Salzach.
[2] Tschudi w dziele przytaczanem 325.
[3] Schneeberg.
[4] Nenstadt.
[5] Salzkammergut. Dr. G. Jäger, Skizzen aus dem Thierleben. Hamburg (b. r.). 6. 7.
[6] Tamże 466.

przestrzegano, że wykroczenia przeciwko niej puszczają się płazem, że przedstawienia czynione właśnie w interesie ustawy i jej wykonania nie znajdują powinnego posłuchu, z tego wszystkiego nie wynika, że ustawa jest niepotrzebną. Niepotrzebną jest lub staje się ustawa jaka wtedy dopiero, gdyby nikt albo prawie nikt nie czynił tego, czego ustawa zabrania, lub wszyscy czynili to, czego ustawa wymaga. Taki stan rzeczy świadczyłby niezawodnie o wysokim stopniu wykształcenia dotyczącego społeczeństwa. Nie mam jeszcze odwagi, przypisać naszemu ludowi tak wysokiego stopnia cywilizacji, żeby podobne ustawy były u nas z codopiero przytoczonej przyczyny niepotrzebnemi. Ostatecznym celem wszystkich dotkniętych w niniejszych uwagach ustaw, więc także ustawy o ochronie kozic i świstaków w Tatrach, jest cywilizacja, pomnożona wiedza i powszechniejsze uobyczajenie, przedewszystkiem najniższych warstw społeczeństwa. Lekceważenie więc takich ustaw i nieprzyczynianie się do ich przestrzegania tych, którzy sami wyższy stopień oświaty i uobyczajenia zajmują lub chcą zajmować, jest co najmniej obojętnością dla świętego, zdaje się mi, obowiązku podnoszenia ludu prostego na wyższy stopień wiedzy i uobyczajenia. A tutaj nie należałoby żadnej przepuszczać sposobności, żadnego nie pomijać środka, którego użycie przyczynić się może do osiągnienia tego celu.

Gdyby tedy zwiedzający Tatry pamiętali o tem i okazywali ludowi tamecznemu wstręt do kłusownictwa i do podtrzymujących je sprężyn, gdyby dobitnie i raz poraz dali poznać temu ludowi, jak pożądaną byłoby rzeczą, aby tych gór tak pięknych i uroczych nietylko nie odzierano z ich przyrodzonych ozdób, ale, o ile to już się stało, ozdobę tę znowu im wrócono, gdyby szczególniej znanym kłusownikom dali to w sposób zrozumiały uczuć, gdyby to czynili, nie grzeszyliby, zdaje się mi, ani przeciwko Tatrom, ani przeciwko ludowi podhalskiemu, owszem w jednym i w drugim względzie dobrzeby się zasłużyli, a podobno zawsze lepiej niż rozbudzaniem w tym ludzie i podniecaniem chciwości, próżności, lenistwa, lekkomyślności i t. p.

Niechaj tych wypisków i przypisków kilka roznieca, ożywia i podtrzymuje rozmiłowanie w przyrodzonych pięknościach ziemi naszej, bo „piękność szczytna, piękność nieporównana jest ta, którą Bóg stworzył, a człowiek swą ręką nie przerobił. Ta piękność wznosi duszę i do wdzięczności pobudza, człowieka pokornym, dobrym i czułym robi; ta piękność nie znosi krytyki, boski ma ona puklerz, którego krytyczny rozum nie przebije[1].“

Na góry, na góry!
Tam bliżej do nieba;
Tam słońce, tu chmury,
Nam słońca potrzeba.

KONIEC.

PIENIADZE PAPIEROWE
w Polsce.

Przyczynek do naszej historji.

Pieniądze papierowe ukazały się poraz pierwszy w Polsce w r. 1794 za czasów powstania Kościuszkowskiego, po bitwie pod Szczekocinami, gdy ówczesny Rząd Narodowy nie mając funduszów na bicie monet z kruszcu, puś i w obieg bilety bankowe, które miano spłacić po szczęśliwem ukończeniu wojny. Bilety te były zahipotekowane na starostwach, które miano później sprzedawać. Pomimo to znalazły one nieprzychylne przyjęcie, nowość ta bowiem straszyła, tak iż musiano się uciec do zagrożenia karami wzbraniającym się je przyjmować.

W ogóle pieniądze papierowe znajdują się z czterech epok: z r. 1794, z czasów księstwa Warszawskiego, z r. 1830—1831 i z r. 1863. — Biletów bankowych z r. 1794 jest 10 odmian: na 5 i 10 groszy, na 4, 5, 10, 25, 50, 100, 500 i 1000 złotych. Pierwsze trzy odbite są na grubym kartonie, reszta zaś na bibulastym papierze.

1) Pięć groszy. Długości 4cm 5mm, wysokości 6cm 5mm, białego koloru. Na stronie głównej czytamy: UCHWAŁA DNIA 13. AUGU: 1794. Pod tem Orzeł i Pogoń, przegrodzone piątką rzymską, pod którą znajduje się piątka arabska. Dalej: „Pięć groszy miedziane DYREKCYA B. (iletów) S. (karbowych).“ — Na stronie odwrotnej: F. Malinowski. W miejsce znaków wodnych wyciśnięta tłuszczem piątka rzymska.

2) Diesięć groszy. Dł. 6cm 5mm, koloru białego S. G.*): UCHWAŁA DNIA 13 AUGUSTA 1794. „Dziesięć groszy miedziane.“ DYREKCYA BILETÓW SKARBOWYCH. Wewnątrz Orzeł i Pogoń przegrodzone dziesiątką rzymską i arabską. — S. O.: F. Malinowski. Tłuszczem wyciśnięta rzymska dziesiątka.

3) Cztery złote. Dł. 8cm 5mm, wys. 5cm, białe. S. G. „Uchwała dnia 4ta 7bris 1794. — BILET SKARBOWY. — „Na Cztery Złote Polskie. Złł. 4. Cztery złote.“ Te dwa ostatnie napisy przegradza pieczęć: WOLNOŚĆ, CAŁOŚĆ, NIEPODLEGŁOŚĆ. — DYREKCYA B. (iletów) S. (karbowych). S. O.: F. Malinowki. Tłuszczem odciśnięte: Złł. 4.

4) Pięć złotych. Dł. 9cm 5mm, wys. 18cm, różowe. S. G.: BILET SKARBOWY. Pod tem litery dla kontroli. „Uchwała Rady Nayważszey Narod. Dnia 8. Czerw. 1794. Bilet Skarbowy. — 5. — PIĘĆ. Te dwa ostatnie napisy przegradza Orzeł i Pogoń i mury forteczne przykryte czapką frygijską, znamieniem rewolucji. „Na pięć Złotych polskich (rachując z jedney Grzywny Kolońskiey Złłch polch 84½ Monety Srebrney) które Skarb Narodowy każdemu Ukazicielowi ninieyszego Biletu z funduszów na umorzenie Biletów Skarbowych przeznaczonych na ogólnych Dobrach Narodowych hypotekowanych zapłaci oraz we wszelkich dochodów Publicznych według powyższey Uchwały Rady Nayważszey Narodowey przyimować będzie.“ Pod tem wycisk niecałkowity: WOLNOŚĆ, CAŁOŚĆ, NIEPODLEGŁOŚĆ—PIECZĘĆ DYREKCYI BILETO.... Reszty brakuje, gdyż jak powiedziałem pieczęć niecałkowita. Następnie podpisy: J. Techner i A. Reykowski i numer porządkowy. — Znaki wodne B. (ilet) S. (karbowy). Są jeszcze i inne znaki, ale nie na wszystkich się znajdują. — Na S. O. nic nie ma.

5) Dziesięć złotych. Długość i wysokość jak wyżej, białe S. G.: jak wyżej, tylko: „Bilet Skarbowy — 10 — DZIESIĘĆ. Na Dziesięć Złotych polskich (rachując i t. d.)“ — Podpisy: M. Pagowski i T. Staniszewski.

6) Dwadzieścia pięć złotych. — Długość i wysokość jak wyżej, żółte. S. G.: jak wyżej, tylko „Bilet Skarbowy — 25 — DWADZIEŚCIA PIĘĆ — Na dwadzieścia pieć Złotych polskich (rachując z jedney i t. d.)“ — Podpisy: Grozmani i M. Zakrzewski.

7) Pięćdziesiąt złotych. Długość i wysokość jak wyżej, brunatne. S. G.: jak wyżej, tylko: „Bilet Skarbowy — 50 — PIĘDZIESIĄT. — Na pięćdziesiąt Złotych polskich (rachując z iedney i t. d.)“—Podpisy: J. Kleck i J. Gaczkowski.

8) Sto złotych. Długość i wysokość jak wyżej, czerwone. S. G. jak wyżej, tylko: „Bilet Skarbowy — 100 — STO. — Na Sto Złotych polskich (rachuiąc i t. d.)“— Podpisy: J. Gaczkowski. J. Kleck i A. Michałowski.

9) Pięćset złotych. Długość i wysokość jak wyżej, ceglaste. S. G.: jak wyżej, tylko: „Bilet Skarbowy — 500 — PIĘĆSET. — Na pięćset Złotych polskich (rachując i t. d.)“ — Podpisy jak wyżej.

10) Tysiąć złotych. Dług. i wys. jak wyżej, żółte. S. G.: jak wyżej, tylko: „Bilet Skarbowy — 1000 — TYSIĄC — Na Tysiąc Złotych polskich (rachując i t. d.)“ Padpisy jak wyżej.

Pierwsze ośm są dosyć pospolite, pięćset złotych są rzadkie a tysiąc złotych nadzwyczajnej rzadkości. Znane mi są tylko dwa egzemplarze: jeden znajduje się w zbiorze p. D. E. Friedleina, księgarza w Krakowie, drugi ja posiadam.

Biletów Kassowych z czasów Księstwa Warszawskiego znajdują się trzy odmiany: na jeden, dwa i pięć talarów. Bilety te odciśnięte czarnym tuszem na białym papierze, pieczęcie tylko czerwone; na biletach talarowych znajdują się także pieczęcie odciśnięte wypukło.

11) Talar. Długość 17cm, wysokość 9cm 5mm. W otoku: „Jeden Talar Kassowy — Bilet Xięstwa Warszawskiego. Będzie stosownie do roskazu Nayiaśnieyszego Króla Imci Saskiego Xięcia Warszawskiego podług Dekretu, pod d. 1go Grudnia 1810 w wszystkich Kassach publicznych przyiętym w Warszawie dnia 1go Grudnia 1810.“ Podpisy: Walenty Sobolewski, Kommisarz i UM. Piramowicz, Kontroller. Dwie pieczęcie: na jednej herb Księstwa Warszawskiego, na drugiej: 1 Talar. W narożnikach otoku: K. (asowy) B. (ilet) X. (ięstwa) W. (arszawskiego).“

12) Dwa talary. Jak wyżej, tylko się otok różni i liczba wartościowa. „Dwa Talary“

13) Pięć talarów. Jak wyżej tylko otok znacznie się różni i liczba wartościowa „Pięć Talarów.“

Biletami temi przyjmowały kasy państwa połowę wszelkich należności, druga połowa zaś musiała być w gotowiznie składaną; w takim stosunku były i wypłaty z kas czynione. Zmieniano te bilety na gotówkę za potrąceniem 4 groszy od każdego talara t. j. sześciu złotych polskich. W prywatnych stosunkach obieg ich nie był przymusowy. Znajdują się arkusze z wzorami tych biletów; na jednej stronicy są podobizny, a na innych wydrukowane są ustawy dotyczące ich wypuszczenia w obieg. Ważniejsze artykuły podaję dla ciekawości:

Art. 5. Billety kassowe służą Ukazicielowi; kto więc one posiada, uważany bydź ma za ich prawego właściciela.

Art. 6. Billety takowe nie przynoszą żadney prowizyi i niemaią ustanowionych terminów

[1] Kaž. Wodzicki. Czas, Dodatek miesięczny. 1859. 13, 433.
[2] Karol Antoniewicz.

*) Uwaga. S. G. znaczy: strona główna, S. O.: strona odwrotna. Gdy te znaki nie są wymienione, to się rozumie, że tylko jest strona główna.

do ich spłacenia. Zachowuiemy sobie iednak umarzanie onych succesive w miarę okoliczności.

Art. 7. Rzeczone Billety w każdym czasie zamieniane będą na gotowe pieniądze. Tym końcem rozkazaliśmy ustanowić w Warszawie Główną Kassę wymiany, która, na żądanie każdego Billet przynoszącego, za potrąceniem po cztery grosze od każdych sześciu Złotych w Billetach, natychmiast w zamian gotowe pieniądze wyliczy. Taż kassa, bezpłatnie na żądanie każdego zamieniać będzie billety małe na większe, lub większe na mniejsze.

Officyalistom ustanowionym przy główney Kassie wymiany, niewolno iest pod karą oddalenia ich ze Służby, wyciągać wyższey nad ustawioną ninieyszym Artykułem opłaty od tych, którzy billety na pieniądze zamieniać zechcą, ani też żadnego domagać się lub przyimować procentu od tych, którzyby żądali zamiany billetów kassowych, iednego gatunku na drugi.

Art. 8. Wymiana uskuteczniona będzie w teyże kassie codziennie od 9^{ey} do 12^{ey} godziny przed południem, a po południu od godziny 3^{ey} do 5^{ey}; wszelako Kassa ta zamkniętą będzie w każdą Niedzielę i dni Świąteczne, tudzież w każdą Sobotę, iako dniu do obrachunków tygodniowych przeznaczonym.

Art. 9. Gdyby iaki przewidzieć się niemogący przypadek, stał się przeszkodą Kassie do zmienienia billetu kassowego na gotowe pieniądze, wtenczas Kontroller powinien oznaczyć takowy billet na drugiey Stronie czerwonym Atramentem, podpisać się na nim i przyłożyć pieczęć kassową; a tak oznaczony billet, w całkowitey wartości bez żadney wymówki w opłacie za sól w magazynach solnych przyięty, natychmiast z kursu wyciągniony będzie.

Art. 10. Nazwisko i meysce pomieszkania korrespondentów, u których wymiany billetów kassowych po Departamentach czynione bydź mogą, przez Gazety ogłoszone zostaną.

Art. 11. Wszelkie podatki, tak stałe iako i niestałe przez połowę w billetach kassowych do Skarbu wnoszone, i w takieyże proporcyi wszystkie ze Skarbu wypłaty czynione bydź mogą, wyiąwszy, z kontraktu lub inney umowy pochodzące wypłaty, które tak z iedney iako i drugiey Strony, podług warunków umowy dopełnione bydź powinny.

Art. 12. Poborcy i Kassyerowie publiczni, niepowinni pod karą oddalenia ze służby, żadney czynić trudności w przyimowaniu billetów kassowych w połowie podatków, ani też wymagać lub przyimować żadney za to nadgrody lub opłaty.

Art. 13. W prywatnych wypłatach z kontraktu, Obligacyi, oraz kupna i przedaży lub inney iakieykolwiek umowy wynikaiących, nikt nie może bydź muszonym do przyimowania billetów kassowych, ieśli ten rodzay wypłaty nie był w umowie ostrzeżony.

Art. 14. Do Dyrekcyi kassowych billetów ustanawiamy oddzielną Kommissyą z członków następujących, iako to:

Podług Nominacyi Naszey pod dniem 21. Lipca roku bieżącego,

W. W. Ostrowskiego Senatora Wojewody,
Sobolewskiego Senatora Wojewody,
Zamoyskiego Senatora Wojewody,
U. U. Badeniego Radcy Stanu,
Jaraczewskiego Prezesa Sądu Appellacyi,
Potockiego Koniuszego wielkiego,
Stanisława Ossolińskiego.

Podług Nominacyi pod dniem 28 Września roku bieżącego.

U. U. Małachowskiego Marszałka nadwornego i
Antoniego Kochanowskiego Kommissarza do obrachunków Gallicyiskich;

równie iak przez Nominacyą pod dniem 8 Września roku bieżącego, Kontrollerem U. Mariana Piramowicza.

Ta Kommissya zostająca pod Naszą bezpośrednią władzą, nie iest mocna bez Naszey wyraźnéy woli, nakazywać wydanie billetów kassowych do innych kass, ieżeli nieodbierze za nie zupełnéy w gotowych pieniądzach wartości.

Art. 15. Główna Kassa wymiany, wraz z przeznaczonym do niej funduszem, zostawać będzie wyłacznie pod wyżey wyrażoną Kommissyą, od niéy saméy tylko, a nie od żadney innéy władzy przyimować powinna rozkazy, w rzeczach tyczących się billetów kąssowych.

(Dok. nast.)

DZIEDZICZNOŚĆ CHARAKTERU

przez

A... S...

III.

(Ciąg dalszy).

Przejdźmy do drugiej hipotezy, którą pomiędzy jej wyznawcami najlepiej sformułował Ribot*).

W naszych czasach — powiada on — wiele się zajmowano możliwością zmian jakie w jednostce jej otoczenie i wpływ zewnętrzny sprowadzić może. Nie należy jednak tej sprawy przesepiać. Często przypisywano (Lamarck) tak wielki wpływ fizycznym warunkom, że one po prostu stawały się twórcze i tak wielką władzę wychowaniu, że charakter indywidualny zdawał się być wyłącznym jego dziełem. Za wielka to śmiałość powtarzać z Leibnitzem: „Dajcie mi wychowanie, a przed upływem wieku zmienię postać Europy.“ Descartes również utrzymymał, że „różnice między umysłami pochodzą z odmienności dróg, jakiemi nasze myśli postępują.“ Szkoła sensualistów czująca wstręt do wszystkiego, co jest wrodzone, jeszcze bardziej przesadziła tę doktrynę. Według Locke'go „na stu ludzi jest przeszło ośmdziesięciu dobrych lub złych, pożytecznych dla społeczeństwa lub szkodliwych przez ukształcenie jakie otrzymali. Od wychowania bowiem zależy wielka różnica jaką w nich dostrzegamy.“ Helwecjusz posunął tę doktrynę do ostateczności. „Wszyscy ludzie — powiada on — rodzą się równi i z równemi zdolnościami, tylko wychowanie stwarza między nimi różnice;“ i z fanatyzmem, który nas wprawia w osłupienie rozwija ten nielogiczny paradoks, że ludzie nie różnią się ani delikatnością zmysłów, ani rozległością pamięci, ani pojętnością, że wszyscy wznieść się mogą do najwyższych idei, gdyż tylko okoliczności sprowadzają modyfikacje między umysłami. My jednak nie możemy wychowaniu przyznać nic więcej nadto, co mu się słusznie należy i musimy wywalczyć prawa dziedziczności. Pewne właściwości psychiczne istnieją już w człowieku przed wychowaniem, które je przekształca, ale nigdy nie tworzy. To co przeciwnicy dziedziczności czynią zależnem od przyczyn zewnętrznych, to jest często zależnem od przyczyny wewnętrznej wrodzonego charakteru. Spór z ich strony polega zwykle na postawieniu tego w ich przekonaniu decydującego dilemmatu: albo dzieci nie są podobne do rodziców i wtedy, gdzie jest prawo dziedziczności? albo są do nich moralnie podobne, i wtedy po co szukać innej do tego przyczyny nad wychowanie? Czyż to nie jest bardzo naturalnem, że muzyk lub malarz uczy syna swej sztuki? że złodziej zaprawia swe dzieci do kradzieży? że dziecko zrodzone w zepsuciu nosi na sobie jego ślady? Trzeba oddać Gallowi tę sprawiedliwość, że dobrze widział i wykazał — mimo panujących wtedy przesądów — iż władze posiadane przez wszystkie indywidua tegoż rodzaju istnieją w nich w bardzo różnym stopniu, że więc odmienność uzdolnień, skłonności i charakterów jest faktem powszechnym, wspólnym wszystkim klasom istot i niezależnym od wychowania. Z pomiędzy psów domowych pińczery i wyżły nie posiadają jednakowej delikatności węchu, sztuki tropienia i pewności w zatrzymywaniu się przed zwierzyną. Konie wyścigowe różnią się co do prędkości, pociągowe co do siły. Podobnie rzecz się ma ze zwierzętami dzikiemi. Ptaki śpiewające wszystkie, posiadają głos z natury swego gatunku; lecz dźwięczność, donośność i urok tego głosu — są odmienne. Pierquin nawet odkrył między końmi i psami ograniczonych, maniaków i obłąkanych.

Co się tyczy człowieka, wystarczy kilka przykładów dla wskazania roli jaką odgrywają uzdolnienia wrodzone (będące zwykle dziedzicznością) i przecięcia wyjaśnień z wpływu wychowania czerpanych. Wszyscy sobie przypominamy, jak d' Alembert znaleziony i wychowany przez wdowę po biednym szklarzu, bez środków, bez wskazówek, wśród prześladowań swej przybranej matki, nauczyciela i towarzyszy, którzy go nie pojmowali, nie zniechęcał się jednak i nie zszedł ze swojej drogi. Już w dwudziestym czwartym roku życia został członkiem Akademii, co było tylko wstępem do jego chwały. Przypuśćmy teraz że go wychowała matka, panna Tencin, że go wcześnie wprowadzono do sławnego salonu, w którym się zbierały największe znakomitości, że go wtajemniczono do filozoficznych i naukowych zagadnień, wydelikatniono w rozmowach, przeciwnicy z pewnością widzieliby w jego geniuszu rezultat wychowania. Biografja większej części sławnych ludzi wykazuje, że wpływ wychowania na nich był albo żaden albo szkodliwy, najczęściej zaś bardzo słaby. Jeżeli weźmiemy wielkich wodzów, których wystąpienie najłatwiej oznaczyć, przekonamy się, że Aleksander W. rozpoczął swoją karjerę zdobywcy w dwudziestym roku życia, Scypio Afrykański w dwudziestym czwartym, Karloman w trzydziestym, Karol XII. w ośmnastym; książe Eugenjusz dowodził armją austrjacką w dwudziestym piątym, Bonaparte armją włoską w dwudziestym szóstym itd. Toż samo widzimy u wielkich myślicieli i artystów, w których wychowanie było drobnostką w porównaniu z tem co od natury otrzymali.

Sądzimy więc, że wpływ wychowania otrzyma swe właściwe granice, gdy powiemy: „nie jest nigdy bezwzględny i działa tylko na natury średnie.“ Zdawałoby się, że ta formuła będąca ostateczną konkluzją wywodu Ribot'a, stosuje się i do dziedziczności charakteru. To znaczy, że jak według niej, wychowanie we względzie umysłowym oddziaływa tylko na intelligencje średnie i nie ma żadnego znaczenia wobec zajmujących

*) W cyt. dziele od str. 466—488.

skrajne punkta szeregu (idjotów z jednej, a genjuszów z drugiej strony), podobnie oddziaływać powinno tylko na charaktery średnie i tracić władzę wobec zbrodniarzy na jednym a niepokalanie cnotliwych na drugim krańcu. Tymczasem rzecz ma się zupełnie inaczej, gdyż Ribot nie stosuje owego prawa do dziedziczności moralnej, dla której robi znaczne, chociaż bardzo nieokreślone ustępstwo: „Jeżeli charakter jest dziedziczny — powiada on — to zarazem przedstawia bardzo wiele wyjątków; dziedziczność zaś jego daleko trudniej oznaczyć aniżeli każdej innej czynności psychicznej.“ To zbyt ogólnikowe wyznanie nie objaśnia się nawet w innem miejscu, gdzie autor powiada, że wpływom zewnętrznym w formowaniu się duchowych organizmów przyznać trzeba bardzo skromny udział*). Hipoteza więc Ribota sprowadzona do najkrótszej formuły przedstawia się w tej formie: charakter tak jak wszystkie cechy psychiczne, jest dziedziczny, ulega jednak przemianom pod wpływem warunków swego rozwoju. Jakie są zaś prawa tych przemian — niewiadomo.

Widzimy więc, że teorja ta właściwie mówiąc niczego nas nie uczy. Wprawdzie nie ubliża ona zupełnie swemu autorowi, który doszedłszy do fatalistycznych wniosków na polu dziedziczności inteligencji, wolał zrzec się korzyści domysłów niż owe wnioski przenieść na pole dziedziczności moralnej, gdzieby one były dla nas bardzo przykrym rezultatem, bo zniosłyby w znacznej części poczytalność występku. Gdy zatem i druga hipoteza nie rozwiązuje nam głównego w naszym przedmiocie pytania, spróbujmy na nie odpowiedzieć o własnej sile.

Nikt rozsądny już dziś nie przeczy, iż pomiędzy szeregiem objawów duchowych, a szeregiem stanów fizycznych istnieje ścisła odpowiedniość i związek. Dowodzić przeciwnie, jest to dowodzić, że myślenie może się obejść bez mózgu, a świadomości opjum nie pokona. Jeżeli zaś tak jest, nadto, jeżeli ta odpowiedniość istnieje, jak samo z siebie się rozumie, między ustrojem fizycznym a właściwie moralnym, a pierwszy ulega niewątpliwie prawom dziedziczności, zatem i drugi ulegać im musi. Tłumaczę myśl moją przykładem.

Zdarzają się wypadki, a nawet je czytelnik wyżej poznał, w których ojciec przekazuje dzieciom, albo dziadek wnukom, pewną ułomność nerwową, która rozwinąwszy się tworzy w nich zły, z fatalnością działający instynkt. Czyż wtedy nie powiemy, że charakter potomków jest odziedziczony po przodkach? Tu może ktoś zrobić uwagę, że twierdząca odpowiedź na to pytanie dotyczy tylko organicznych, a następnie duchowych z b o c z e ń. Uwaga wszakże taka nie dowodziłaby niczego. Bo w jakiej formie przedstawia się n o r m a l n y ustrój człowieka i gdzie się poczynają z b o c z e n i a — nie wiemy, a nawet wiedzieć nie możemy. Nie posiadamy bowiem żadnego modelu, którybyśmy mogli porównywać z każdą jednostką i na podstawie jej z nim różnicy lub zgody decydować, czy ona jest prawidłowo lub nieprawidłowo ukształtowaną. U ludzi, których uważamy za najzdrowszych umysłowo, bardzo łatwo wykryć tę lub ową manję, która zostaje w bezpośredniem pokrewieństwie z obłędem. Wszelkiego rodzaju *idées fixes* czepiające się nawet genjuszów, są często najprostszem pomięszaniem. Teorja więc, która się opiera tylko na objawach i umysłach n o r m a l n y c h właściwie nie ma żadnej opory, czepia się ogólnika, który nie służy do żadnych wywodów i nie daje żadnych pozytywnych określeń. My więc ani jej dróg, ani losów podzielać nie możemy. Przytem nastręcza się inna kwestja. (C. d. n.)

*) Str. 282.

PO WOJNIE r. 1831,

część II. pamiętników

Ignacego hr. Komorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Zaniedbano zaraz z początku, póki jeszcze Austrja przez palce patrzała, sprowadzić z zagranicy wielkich mas saletry, siarki i ołowiu. Fabryka saletry w Ojcowie dyrygowana przez brata gen. Chrzanowskiego, która ze starych murów zamkowych wyługowywała saletry, bardzo mały dawała procent, a prochownie tamże stojące nie wiele produkowały. W Piaskowej Skale kilku artylerzystów robiło karabinowe ładunki, ale to szło ozięble i strasznie pomału.

Nim Zabiełło wszystkie zlustrował zakłady, Moskale odcięli nas od głównej armji, i z raportem pojechać, ani go przesłać Naczelnemu Wodzowi nie mógł. Przysłał go więc dowódzcy osobnego korpusu gen. Różyckiemu, który wydał rozkaz ażeby wszystko co tylko jest gotowe do boju, łączyło się z jego korpusem. Tym sposobem dostaliśmy, 1) dywizjon pieszy legji nadwiślańskiej, który na drugi dzień po przybyciu zupełnie rozbity został pod Chodczą. Ten dywizjon formował się w Stobnicy pod dowództwem majora Smarzewskiego, galicjanina z przemyskiego. Nigdy nic ładniejszego widzieć mi się nie wydarzyło — młodzież z której najstarszy ledwie rok 26. liczył; umundurowanie gustowne, cieńkie, wszystkie przybory dopasowane najskrupulatniej, podług tamtoczesnego przepisu; tylko karabiny złe i wymustrowanie liche. 2) Bardzo porządny dywizjon legji konnej litewsko-ruskiej, pod dowództwem majora Bohdanowicza. 3) 11. pułk strzelców; 2 bataljony uzbrojonych w kosy. 4) Dywizjon starej jazdy pod dowództwem p. pułkownika Chmielowskiego; ten się z nami złączył na parę dni przed wkroczeniem do Galicji generała Romarino. 5) Pułk 6. strzelców z kosami, przyszedł do nas w czasie odwrotu, do Pińczowa. 6) Szwadron młodej jazdy; 4 plutony; każdy z innego pułku, oddany przez Różyckiego w dowództwo kapitanowi Radzimińskiemu z jazdy lubelskiej. 7) Pułk. Kuszla, któremu pułk odebrano, i tenże między inne pułki jazdy rozdzielono; w maju sformował w rezerwach nowy pułk i przyszedł do korp. Różyckiego. Sam został przez oficerów jazdy wołyńskiej majora Różyckiego wypędzony z korpusu; poczem sprzedawszy dobra w Kr. Polskiem, wyniósł się w głąb Moskwy. Nakoniec 8) przymaszerował pod Kraków generał Kamieński z jazdą złożoną z rozmaitej broni, która ujrzawszy awangardę moskiewską, częścią się rozpierzchła; jedni wpadli do Krakowa i zaalarmowali miasto, w wilję wejścia Moskali; mała część przeprawiła się w pław przez Wisłę do Galicji; reszta zaś poddała się nieprzyjacielowi. . . . .

Ale wracam do mojej ekspedycji.

Dojeżdżając do Słupi z prawdziwą przyjemnością ujrzeliśmy, że straż obozowa, dobrze pełniła swoje obowiązki. Obecność ks. Adama w głównej kwaterze była tego powodem. Po oddaniu hasła wpuszczono nas do obozu, do którego dwóch wołyńców nas eskortowało.

Po zameldowaniu się generałowi i księciu, odszedłem zostawiwszy z nimi Zabiełłę, kazałem z rozkazu generała wziąć konie pocztowe do jednego z domów miasteczka, dobrze je karmić, ale dodać wartę, żeby pocztyljon nie odjechał, co się temuż nie bardzo podobało.

Późno w nocy, zawezwany zostałem do generała; dostałem rozkaz wyprawienia Zabiełły końmi pocztowemi z eskortą 4 ludzi, podoficera i trębacza, do przedniej straży moskiewskiej przed Iłżą stojącej. Zkąd miał się udać jeśli przepustkę dostanie do Radomia do generała Rüdigera. Miał on rozkaz układać się z Rüdigerem o rozszerzenie rozgraniczenia między wojskami stojącemi naprzeciw siebie. Mianowicie zaś, szło oto, żeby dyplomatycznie zbadać, co Moskale myślą, po wyparciu z kraju Romarina.

Ks. Adam w towarzystwie sekretarza swego Sienkiewicza Karola, eskortowany przez oficera i pluton krakusów, obywatelskiemi końmi także odjechał zaraz. Wszyscy zresztą, wierząc w zawieszenie broni i dobrze strzeżony obóz, udali się na spoczynek. Przez ten czas nie próżnowali Moskale.

Generał Krasowski, który wyparł z kraju Romarinę, zaraz się zwrócił; przeszedł na lewy brzeg Wisły, częścią przez most pod Kazimierzem, częścią galarami, i zawiadomił Rüdigera, żeby się z nim połączył i razem bez wypowiedzenia zawieszenia broni zaatakował korpus Różyckiego.

Ledwie też zaszło słońce, dzień zaczął się nie bardzo pogodny; usłyszeliśmy parę wystrzałów armatnich, danych do naszego patrolu podsuwającego się pod samą rzeczkę Kamienną, stanowiącą granicę między wojskami nieprzyjacielskiemi, przez baterją artylerji kozackiej, posuwającej się z kawalerją naprzód.

Patrol ów przymuszony do odwrotu, i party przez awangardę kozacką, spotkał w drodze Zabiełłę, który nie uważając na to, kazał trębaczowi trąbić na parlamentarza i chustkę białą przyczepić do lancy, jechał naprzód. W tem otoczyli go kozacy, i wzieli w niewolą jego i eskortę. Widząc to z daleka i słysząc trąbienie, prowadzącej przednią straż moskiewską, kipitan kwatermistrzowstwa Chruszczew, ten sam co był gubernatorem Lublina, godny bardzo człowiek, ten sam wreszcie który był mi dodany w czasie mojej parlamentarki w Radomiu u Rüdigera, poskoczył wraz z pułkownikiem kozackim, żeby się przekonać, co ta grupa na gładkiem polu znaczy? Zobaczywszy parlamentarza, sztabsoficera, rozmówił się z Zabiełłą i kazał natychmiast jego i całą eskortę uwolnić, oświadczając, że korpus Rüdigera połączony z Krasowskim manewruje tuż za nim, ażeby skończyć z Różyckim. Powiedział Zabielle, żeby się spieszył wrócić do swego korpusu i radził Różyckiemu złożenie broni, jeżeli nie chce ażeby korpusik jego był zupełnie otoczony (co się równocześnie już ma robić), dodając, że w tak nierównej walce rozlew krwi każdego pojedyńczego nawet żołnierza, jest zbrodnią. Nim Zabiełło do obozu przyjechał, już cały korpus stał pod bronią, w szyku bojowym, z gotowością do odwrotu, drogą ku Łagowu.

Tylną straż formowały: pluton artylerji 6-funtowej porucznika Freze, bardzo dobrego oficera, bataljon strzelców Kuszla pieszy, i szwadron zbiorowy Radzimińskiego.

Zaczęliśmy się cofać, żeby się wydobyć

z wąwozów, które dopiero za Ługowem się kończyły.

Tylna straż miała rozkaz, po ustąpieniu korpusu, cofać się powoli odstrzeliwując się i korzystać z pagórkowatości, żeby nie została oskrzydloną.

Maszerowaliśmy bez pospiechu, wiedząc, że pomimo groźby Chruszczowa, czas i odległość nie pozwolą się tak prędko skupić Moskalom, żeby nas natarczywie atakować mogli, i w samej rzeczy, tylko najbliżej linji demarkacyjnej stojący pułk dragonów kargopolski, kilka sotni kozaków i 2 plutony kozackiej artylerji postępowały za nami.

Tylna straż nasza nie atakowana, widząc że już korpus daleko się odsunął, zaczęła się pomału eszelonami cofać. Spokojnie maszerowaliśmy do samego Łagowa, miasteczka leżącego między górami nie wielkiemi z prawej, a gładkiemi wyżynami z lewej strony, droga zaś pod miasto ciągnęła się głębokim wąwozem.

Bieliński, z którym razem ciągle jechałem koło generała, dyrygował odwrotem.

Nimeśmy się do Łagowa zbliżyli, boczny patrol wołyńców zameldował, że po lewej stronie małemi zaroślami sosnowemi maszeruje równolegle do nas znaczny oddział jazdy.

Natychmiast dano rozkaz, ażeby cała nasza kawalerja pędem przeleciała przez miasto, i stanęła w szyku bojowym na wyżynach z tamtej strony, z dwoma plutonami artylerji konnej. Moskale zobaczywszy że korpus cały już jest w wąwozie, zaczęli nacierać na tylną straż, która się bardzo porządnie cofając odstrzeliwała. Tylko niecierpliwy Radzimiński, który cofał się bokiem, ostatni, widząc przed sobą parę sotni kozaków, dał rozkaz do szarży. Kozacy zwyczajem swoim pierzchnęli, on się ze szwadronem za daleko uniósł, nie widząc za pagórkiem dragonów, którzy mu tył wzięli; dragoni kargopolscy, którzy pod poryckiem byli rozbici przez Dwernickiego, i kilka razy ucierpieli w małych utarczkach z naszą jazdą, tym razem rewanż wzięli. Szarża dragonów się udała, bo cały szwadron częścią zrąbali, częścią zabrali. Jeden tylko Radzimiński i Seweryn Rulikowski, którego już dragon za kołnierz ciągnął uwolniony został przez podoficera Ztulskiego, który zastrzelił nacierającego dragona. Kilku tylko zaledwie żołnierzy z pułku lubelskiego uszło, i przez góry manowcami, na drugi dzień dopiero, dostało się do korpusu. Moskale przed miastem stanęli, dawszy kilkadziesiąt strzałów działowych do miasta, które w jednem miejscu zapalili i przestali nas gonić, czekając na posiłki.

Korpus nasz maszerował jeszcze długo w noc drogą do Pińczowa.

Stanęliśmy obozem pod dużą wsią, gdzie we dworze sztab się zakwaterował.

Dostałem natychmiast od generała rozkaz, ażeby wypocząwszy trochę koniom moim, jechać do Jędrzejowa, tam się zameldować ks. Adamowi, i czekać na tegoż dalsze rozkazy.

Przed świtem stanąłem w miasteczku; poszedłem do księcia, który stał u burmistrza, i wraz z księżną i dziećmi siedzieli przy herbacie, do której mnie zaproszono. Pojazdy swoje upakowane zaprzęgać zaczynali, i wkrótce cała rodzina ruszyła. Książe kazał mi jechać prosto do Pińczowa, tam się mu zameldować, i przygotować do dalszej podróży, jaka mnie czeka.

Ruszyłem więc zmordowany, na równie zmordowanym koniu; ranek był gorący, smutne myśli opanowały umysł, koń zmęczony ze spuszczoną głową kroczył zaspanego stępa, w dolinie z daleka ukazał mi się Pińczów, cel tymczasowy mojej podróży; około 7. godziny stanąłem w mieście, i zaraz udałem się do księcia, zajęwszy przed nadejściem korpusu miejsce w stajni karczemnej, gdzie konie posiodłać i oporządzić kazałem.

Zastałem księcia w takiej samej pozycji, jak przed kilką dniami w Słupi. Siedział koło komina i pisał na kolanie; sekretarz zaś jego na osobnym stole, przepisywał na czysto jakieś papiery. Księżna z dziećmi, nie zatrzymując się, tylko tyle czasu, ile przeprzężenie koni wymagało, spiesznie pojechała do Krakowa, i dobrze się stało, bo spoźniwszy się, mogła była dostać się w ręce jakiego patrolu kozackiego, które się ciągle uwijały ponad Wisłą, ku Igołomji.

(C. d. n.)

Aktorka.

Spojrzyjcie! — na głowie szychową koronę —
Na szatach ma jedwab' kosztowny —
Śmiech rzuca jej sztuka na usta spalone,
A na twarz, rumieniec kunsztowny;
I wyszła — królowa piękności i blasków
I sieje słów perły dokoła,
A przed nią wre burza szalonych oklasków;
A za nią... płacz stróża - Anioła!

Zgubiona! — dlaczego? — spojrzyjcie w jej lica —
To lica — natchnionej kapłanki!
To wielkiej idei oddana dziewica
Do świętych walk — staje tu w szranki!
I sztuki przeczyste poślubia ognisko
Ku światłu podnosząc ramiona —
Dlaczegoż nad wielkiej tej duszy kołyską
Zawisnął sąd straszny: Zgubiona!

Dlaczego? — o święcie! — odpowiedz, — bez maski
Niech ujrzę twe brudne oblicze! —
Dlaczego? — bo patrzeć nie możesz na blaski
Co sieje to czoło dziewicze —
Bo słuchać nie możesz tych wielkich słów dźwięku
Czystemi głoszonych ci usty —
Dopokąd nie pęknie hart piersi tej w jęku,
Nie skala jej oddech rozpusty! —

A służą ci w dziele wspólniki zbyt chętne,
Sieć intryg misterna i zdradna —
I ufnej młodości porywy namiętne
I złota potęga wszechwładna...
I podłość, co prawdą się mieni nikczemnie
I wszystkie ludzkości szkielety —
Tak wiele, tak wiele! — by tylko pchnąć w ciemnie
Majestat bezbronnej kobiety!

A potem, w złoconej rozparłszy się loży
Oklaskiem — urągać zdeptanej!
Nim życia gorączka złamaną gdzieś złoży
Bez dachu, na nędzy łachmany!
Nim biedne jej serce ten straszny sen prześni,
Co rajskiem się zaczął widzeniem —
Nim padnie kochanka wielkości i pieśni
Pod ciężkim pogardy kamieniem!

Bo pocóż ku słońcu — tak śmiało, zuchwale,
Skrzydlata jej dusza ją niosła —
I gromy trzaskała na ludzkich serc skale —
I stała wśród tłumu — wyniosła!
I miała odwagę o prawdzie mu prawić
Wśród ducha wysileń i dreszczów?!
— Bawiła przez chwilę, — świat lubi się bawić
Krwią ofiar i łzami swych wieszczów!

Dnia 23. stycznia 1875

Marja B.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

Rozdział II.

(Ciąg dalszy.)

Jak widzimy, rozporządzono tego popołudnia w sposób dość szczodry „złotem Lucypera.“ Okrągłą wcale sumkę przeznaczono na budowę kaplicy dla projektowanego przytuliska pod opieką OO. apostolskiego Zgromadzenia św. Jakóba z Kompostelli, sześć tysięcy złp. odpisał sobie p. Simche Berger, sześćdziesiąt tysięcy czekało pana Alfreda po wyjściu za mąż panny Heleny, a czternaście znajdowało się w jego posiadaniu gotówką, z potrąceniem pewnej małej kwoty, którą p. Berger umiał zatrzymać tytułem należytości za stempel, za kursa robione dorożką, i za swoją „fatygę.“ Znajdą się zapewne złośliwi ludzie, którzy zechcą przypuszczać, iż p. Zgorzelski nie miał nic pilniejszego do czynienia, jak tylko pójść do swego klubu i ze zdobytą na p. Bergerze bronią w kieszeni, rozpocząć na nowo te same operacje, których fatalny przebieg wczorajszy zniewolił go do rannej wizyty u p. Goldsteina. Na złość tym sceptykom i pesymistom, niechcącym dopuścić istnienia szlachetniejszych instynktów w łonie każdej jakkolwiek zorganizowanej indywidualności ludzkiej—zmuszony jestem w krótkich słowach spisać tutaj dyarjusz dalszych czynności p. Alfreda. Otóż były one wprost odmiennej natury. Najpierw poszedł na przechadzkę do ogrodu miejskiego, gdzie spotkawszy gwiazdę sceny miejscowej wraz z jej duenną, wprawił cztery tuziny akademików i drobnych urzędników w zielono-żółtą zazdrość poufałym tonem i sposobem przywitania się i rozmawiania z tą boginią dnia, a raczej, wieczoru. Mówił jej wiele pięknych rzeczy o jej ostatnim występie w roli Julji, w tragedji Szekspira, i klął się na duszę, że nie uwierzy nigdy, by można tak wybornie, tak po mistrzowsku oddawać uczucie pierwszej, naiwnej, a tak szczerej, tak gorącej, tak przytem idealnej i poświęcającej się miłości, jeżeli go się nie doznawało, albo, jeżeli się go nie przeczuwa, t. j. jeżeli się nie jest zdolną doznać go kiedyś. Gwiazda pomyślała sobie, że ten piękny młodzieniec sam jest jeszcze bardzo naiwnym i idealnym i oświadczyła mu, że posiada jej zaufanie jak najzupełniejsze. Po takiem oświadczeniu, i ponieważ gwiazdy teatralne odznaczają się w istocie czarującą łatwością w obejściu, nie było w tem nic dziwnego, że kiedy w dalszym ciągu rozmowy poruszono kwestję dzisiejszego koncertu, zapowiedzianego przez wielkiego mistrza Nr. 2. (nie tego samego, którego widzieliśmy u p. Podwalskiej) gwiazda przyznała się najnaturalniej w świecie, iż nie może wziąć udziału w tych godach artystycznych, z powodu, iż posiada tylko jeden garnitur złożony z kolji i kolczyków, od biedy *présentable*, a ten już znany jest w całem mieście, bo nosiła go jako Lady Macbeth, i jako Marja Stuart, i jako Julia. Gdyby była „panią,“ nie zależałoby jej na tem, ale „my aktorki“ jesteśmy w tej mierze w wyjątkowem położeniu, wszystkich oczy są na nas zwrócone i powodzenie na deskach zależy często od wrażenia, jakie robimy „gdzieindziej.“ Hipotetyczna naiwność pięknego młodzieńca wytrzymała świetnie tę próbę, począł bowiem wychwalać garnitur, który spostrzegł był u pewnego jubilera, a ponieważ było jeszcze dość wcześnie, więc całe towarzystwo poszło przekonać się, czyli gust p.

Alfreda co do biżuterji jest równie wybrednym, jak jego pojęcia o idealnej miłości. Garnitur okazał się przecudnym i tak dalece „wcale nie drogim,“ że zaledwie dziesięć rodzin zdołałoby było wyżyć do końca miesiąca za jego cenę. Nie moją rzeczą, opisywać skonfundowaną minę jubilera, kiedy otrzymał zlecenie odesłania tej bagatelki do pomieszkania gwiazdy, ani też zdawać sprawę z tych uśmiechów i ukłonów, po za któremi znikła pierwotna jego konfuzja, gdy p. Alfred rzucił mu od niechcenia parę setek na ladę, podczas gdy gwiazda wraz z duenną były już na ulicy. Faktem jest, że duenna, garnitur, gwiazda i kilkadziesiąt łokci jedwabiu i koronek pojawiło się za parę godzin w sali koncertowej, faktem jest także, że wielki mistrz Nr. 2 grał lepiej może niż Nr. 1, i że panna Wandzia ośmieliła się być tego zdania, ale panna Helena i pan Alfred zbili ją z tonu twierdząc, że w grze tego rodzaju nie ma „duszy,“ że jest ona zbiorem błyskotek, świecidełek takich — mówiła panna Helena — jak te, które oto gwiazda teatralna nawieszała sobie na szyi i na uszach, a które przecież nie podnoszą jej moralnej wartości i serca zastąpić nie mogą. Panna Wandzia przytaczała przykład Adrienny Lecouvreur na dowód, że aktorki miewają serce, ale p. Alfred potwierdził wymownie zdanie panny Heleny, poczem, pożegnawszy się z damami, pospieszył na kolacyjkę z szampanem, w której wzięła udział gwiazda, i na którą przybyli także przyjaciele, co poprzedniej nocy pozbawili pugilares naszego bohatera i błyskotek i duszy zarazem. Nie było jednak partyjki, bo p. Alfred miał minę człowieka zbyt pewnego siebie i przyjaciele-przeciwnicy, nie dzisiejsi ludzie, wiedzieli, że będzie grał szczęśliwie, bo widocznie „przypłynęła mu flota“ z jakiejś nieznanej im jeszcze krainy. Wszystko to opowiadam jednakowoż tylko w tym celu, aby przekonać pesymistów, że pieniądze zeskontowane przez p. Bergera nie figurowały tej nocy na zielonym stoliku, i że są jeszcze w świecie kierunki idealne, skoro ludzie i kobiety spostrzegają tak łatwo brak „duszy“ i „serca“ w grze artystów i pod koronkami artystek.

Rozdział III.

Pan Tadeusz Zamecki siedział zaledwie od pięciu minut za stołem w restauracji hotelowej, i zaledwie o trzeciej czy czwartej potrawie, umieszczonej na spisie, dowiedział się był od garsona, że „właśnie wyszła, ale natomiast są na usługi: polędwica, bifsztyk, rozbratel, sznycel, kotlety.“ Od niepamiętnych czasów, krótka ta litanja recytowaną bywa każdemu gościowi, który zawita do którejkolwiek restauracji w pewnem mieście środkowej Europy, i wszyscy goście nieprzybywający z prowincji, umieją ją na pamięć, podczas gdy wieśniacy z nieugiętą konsekwencją każą ją sobie powtarzać i dysponują następnie potrawę, wydrukowaną w cenniku jedynie dla przekonania przybyszów, że kucharz miał ciotkę, której mąż znał kamerdynera pewnego wielkiego domu, gdzie jadano rzecz tego nazwiska. Garson biega i obiecuje, że żądana potrawa „zaraz idzie,“ aż nakoniec po długiem niecierpliwieniu się gościa wyznaje, że już „wyszła, ale jest polędwica, bifsztyk, rozbratel, sznycel, kotlety“ i tak dalej, *in dulce infinitum*. Oprócz tych specjałów, raz tylko zdarzyło mi się widzieć, że dwóm panom podano cztery nogi z jednego i tego samego świeżo upieczonego kapłona, z którego piersi i skrzydeł wszelki ślad zaginął. Otóż p. Zamecki nie miał jeszcze czasu zniecierpliwić się, ani zrobić tych spostrzeżeń, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł p. Skryptowicz, istotny p. Skryptowicz, bez łóżka, bez szlafmycy, bez szlafroka, jak gdyby ziemia stworzoną była do chodzenia po niej, a nie do leżenia! Co więcej, p. Skryptowicz usiadł i zaczął jeść, nie wyrzuciwszy ani jednego talerza za okno, i objawiwszy zaledwie niewyraźny zamiar rozszarpania garsona za to, iż go częstował „polędwicą, bifsztykiem, rozbratlem itd.“ Wszystko to razem zapowiadało, że p. Skryptowicz jest w niezwykle dobrym humorze, i że można z nim mówić o interesach, co się nie zdarzało tak często. P. Skryptowicz był niegdyś prawnikiem, podjął się prowadzenia jednego tylko, większego i przegranego już prawie procesu, wymówiwszy sobie znaczną tantiemę, prowadził sprawę pilnie i wytrwale, wygrał i uzyskawszy niepodległość materjalną jaką taką, zamknął się i położył się spać, nie wstając jak chyba w bardzo odległych od siebie terminach, i odmawiając stanowczo podjęcia się nadal jakiejkolwiek sprawy. W domu utrzymywano, iż p. Skryptowicz pracuje niezmiernie, ale nikomu jeszcze, a więc i mnie, nie udało się dociec, nadczem pracował p. Skryptowicz. Oprócz tej reputacji miał p. Skryptowicz jeszcze także sławę bezwzględnego wyznawcy filozofji epikurejskiej, niezmiernego materjalisty, cynika — oczywiście nie w greckiem, anti-epikurejskiem znaczeniu, bluźniercy i w ogóle posiadacza wszystkich niecnót Lucypera w wyższym jeszcze stopniu niż p. Zamecki, oprócz jednej niecnoty, której ten ostatni posiadał więcej, tj. oprócz złota.

— No, i cóż ty na to powiadasz? — zagadnął go p. Tadeusz po chwili milczenia.

— Ja? Przyznam ci się, że wolałbym... nic ci nie powiedzieć. Kto radzi, bierze odpowiedzialność na siebie za skutek rady, a na wszelki wypadek, naraża się na złe jej przyjęcie.

— Moja ty wyrocznio delfijska, nie baw się w teorje, i nie zrzędź, ale odpowiadaj mi wprost na moje pytania. Helena jest twoją siostrą cioteczną?

— Tak.

— Cóż sądzisz o moim projekcie?

— Hm, ty masz lat czterdzieści, ona dwadzieścia ośm—ty masz majątek, ona nie ma ani grosza. Obliczyłem, iż Stodolscy et consortes zjadają od dziesięciu lat codzień po parę cegieł z kamienicy mojej ciotki. Cegieł było nie wiele, i wystarczy im tego zaledwie do końca roku. Ty, jak widzę, lubisz piękne twarze, a ona...

— Cóż ona, chciej mówić bez sarkazmów.

— Mój Tadeuszu — rzekł pan Karol zmienionym tonem, i wypróżniwszy kufel piwa — rada moja jest ci niepotrzebną, bo zdaje mi się, że już powziąłeś postanowienie nieodwołalne. Co się tyczy Heleny, zaręczam ci, że znam ją od małego dziecka, a jeszcze zawsze nie znam jej dokładnie. Wiem tylko, że nie ma serca, nie wiem zaś, czy ma namiętności, czy tylko kaprysy—czy ma temperament żywy, czy tylko niespokojną, kobiecą wyobraźnię, ową wyobraźnię nie poetyczną, twórczą, ale destrukcyjną i sprawiającą nieład w głowie, w domu, w sercu, w rodzinie, w kuchni, w spiżarni i... w reputacji. Co do mnie, odkryłem ład tylko w jej toalecie, ma się rozumieć, w wizytowej i balowej, bo nie mówię o negliżu.

— Miły z ciebie kuzynek! Otóż ja ci opiszę Helenę, tak jak ja ją poznałem. Spowiadała się przedemną z całego swojego życia, ze wszystkiego, oprócz jednej rzeczy, której wyznanie byłoby dla niej za trudne, a dla mnie... niemiłe. Nie wymagam tego od niej i nie posądzam jej o nieszczerość z tego powodu, zwłaszcza, że wszystko, co mi mówiła, było prawdą, i to prawdą taką, której sam mógłbyś dojść, gdybyś chciał sądzić ją bezstronnie. Całem jej nieszczęściem jest dysproporcja między wrodzonym jej rozsądkiem, a wychowaniem jakie jej dano. Wynika ztąd rażąca sprzeczność między prawdą, którą ona poznaje, a kłamstwem i głupotą, które ją otaczają. Zwykłe dziewczęta, z ciasnemi główkami pozbawionemi zdolności zastanawiania się i rozumowania o własnych siłach, uczą się wierzyć w każdą farsę, która im jest podana jako rzecz godna zachwytu, uszanowania, uwielbienia lub świętej grozy. Wierzą, że męczycymbał jest natchniony, kiedy brzęka w klawisze, wierzą, iż rymowane banialuki są przecudną poezją, wierzą nawet w dobrą muzykę i w prawdziwą poezję, powtarzam, że wierzą, bo same ani jednej ani drugiej nie czują, nie będąc zgoła zdolnemi do głębszych wrażeń. Ale osoba z taką pozytywną, męzką głową, jak Helena, z wyobraźnią destrukcyjną może, jak powiadasz, ale zawsze bujną, taka osoba poznaje z czasem, że wszystko dokoła niej oszukuje lub jest oszukiwanem, i przychodzi do błędnej, ale naturalnej konkluzji, że pojęcia prawdy, ładu i piękna są czysto konwencjonalnemi. Jeszcze gorzej ma się rzecz z pojęciem dobra, które u kobiet opiera się wyłącznie na religji, na wierze. Wszak znasz tego młodego popa, co wiecznie przesiaduje u Podwalskich? Mój drogi, gdzie tacy reprezentują religję i wiarę, tam te podstawy moralne usuwają się radykalniej, niż gdyby wszyscy encyklopedyści francuscy i wszyscy materjaliści angielscy wykładali od rana do wieczora, że nie ma i nie może być ani Boga, ani cnoty, ani zbrodni, ani obowiązku, ani czegokolwiek podobnego. My w podobnych warunkach tworzymy sobie religję sami dla siebie — kobieta tego nie potrafi, zostaje ona ukrytym półmędrkiem, udającym wiarę dla pozoru, a w gruncie przekonanym o nicości tego, w co mu kazano wierzyć, i pozbawionym wszelkiej nici przewodniej w życiu...

— Wszystko to dobre i prawdziwe, co mówisz, ale są przecież naturalne instynkta, których nie stłumi nawet wychowanie dające frazesa i blagę zamiast pożywnej strawy. Weź na przykład instynkt matki.

— Rozumiem cię, ale rozumiem także pewne położenia. Wszak wiesz, czem jest potęga względów światowych, zwłaszcza jeżeli dla kogoś ten świat stał się jedynym już bogiem! W obec tej potęgi milkną instynkta, jak milkną one w świętym anachorecie, szukającym zbawienia w zaparciu się swego własnego ciała.

— Jednem słowem, antychryst w imieniu wszechmiłości udziela mojej kuzynce najzupełniejszej absolucji, i za pokutę każe jej zostać swoją żoną. Da jej trzydzieście kilka tysięcy guldenów dochodu, i wzbudzi w niej nową religię na miejsce tej, którą poterano zbyt łatwemi odpustami i zbyt widocznie fabrykowanemi cudami. Nauczy ją kochać prawdę w pięknie, w nauce, w naturze i w sztuce. Nie będzie miał nic przeciw temu, jeżeli zechce się stroić i błyszczeć w świecie.

— Nie, wszak wiesz, iż jedynym nieraz powodem małych niesmaków w mojem pierwszem małżeństwie było to, że moja żona nie umiała, czy nie chciała tego, co Helena umie tak wybornie. Zbyt krótko byliśmy kochankami, i zbyt prędko zaczął się między nami ten stosunek bezwzględnego szacunku i szczerej przyjaźni, którego posąg stawia się na grobie miłości. Żona powinna

umieć się podobać mężowi nietylko przymiotami serca i duszy...

— A więc naprzód, Tadziu, żeń się! Mówiłem ci z góry, że moja rada na nic się nie przyda. Powiedz mi teraz tylko, zkąd dowiedziałeś się o tem, czego ci Helena sama nie wyjawiła?

— Ktoś uważał za potrzebne donieść mi to w bezimiennym liście. Najniezawodniej któraś z kochanych kumoszek Podwalskiej. Wierz mi, tak nienawidzę tych bab, że jeżeli Helena zechce zostać moją żoną, to wbrew przekonaniu będę się starał o jak najświetniejszy obrzęd ślubny i pozapraszam wszystkie stare dewotki, ażeby popękały ze złości.

— Zaproś-że i mnie, bo ja muszę koniecznie być obecnym przy tak radośnem zdarzeniu.

— Byleś się tylko wyspał za wczasu! Ale na teraz, powiedz mi, czy przeczytałeś mój list uważnie?

— Przeczytałem.

— I dowiedziałeś się, gdzie jest ta dziewczynka?

— Ztąd o trzy mile. Ma siedem lat i pasie gęsi u chłopa. Nie wiedziałem dotychczas o jej istnieniu.

— Nie objawiłeś przecież najmniejszego zdziwienia, czytając mój list!

— Mój kochany, ja się niczemu nigdy nie dziwię. Zasadą moją jest unikać wszelkiej emocji. To mi odbiera sen i apetyt.

— Nie dziw-że się także, że zażądam od ciebie, abyś o wschodzie słońca pojechał ze mną po tę dziewczynkę, i wziął ją tymczasem do twego domu. O ile znam twoją poczciwą żonę, nie będzie miała nic przeciw temu.

— U mnie nikt nie śmie mieć nic przeciw niczemu. Co się tyczy jazdy, postanowiłem ją, nim mi ją proponowałeś. Musimy tylko wziąć z sobą niejaką panię Drozdowską, która ulokowała dziecko to na wsi — samibyśmy go nie odszukali. Będzie to strasznie miłe towarzystwo; zimno mi się robi, gdy pomyślę o tem.

— Ale teraz, mój kochany epikurejczyku, jakim-że ja sposobem zbudzę ciebie o wschodzie słońca?

— Ja ciebie zbudzę. Nie myślę iść spać wcześniej, jak jutro wieczór. Kładę się i wstaję tylko dwa razy w tygodniu, to mi oszczędza trudu i emocji, i zgadza się wybornie z moją zasadą.

(C. d. n.)

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

(Ciąg dalszy.)

Gdy przez cały rok następny żadnych nie otrzymano doniesień, poczęły się z wiosną r. 1874 pojawiać po dziennikach niepokojące domysły i wielu poczytywało już całą ekspedycję za straconą, pomimo że dr. Petermann bardzo słusznie uważał, iż przed jesienią tegoż roku nie można się spodziewać żadnych wiadomości o Tegetthoffie*). Nawet sam hr. Wilczek, jakkolwiek ufny w doświadczenie i odwagę swoich przyjaciół, nie mógł utaić obawy o ich los i używał wszelkich sposobów, aby się dowiedzić jaki obrót wzięła ekspedycja i przyjść jej w razie potrzeby z pomocą. W tym celu kazał on sporządzić pięćdziesiąt małych balonów gumielastycznych i rozdał je łowcom wielorybów, którzy wyruszali na ocean arktyczny, z poleceniem, aby je wraz z przyłączonemi depeszami puścili w powietrze pod jak najwyższą szerokością geograf. Spodziewał się Wilczek, że może tym sposobem powiedzie się utworzyć komunikację z ustrzegłym kędyś w lodach Tegetthoffem. Towarzystwo geograficzne londyńskie poleciło statkowi odpływającemu do Spitzbergen, aby się starał zasięgnąć tam wiadomości o straconej ekspedycji austrjackiej, a rossyjskie ministerstwo marynarki wydało na prośbę rządu austrjackiego odezwę tejsamej treści do swoich marynarzy arktycznych. W odpowiedzi na tę odezwę przesłał Sidorow rządowi rossyjskiemu następujące uwagi: „Wiadomości, które marynanarze rossyjscy od czasu rozstania się hr. Wilczka z Weyprechtem i Payerem, o nagromadzeniu lodów około północnych przylądków Nowej ziemi przynieśli, przekonywają, że te zatory lodowe i w lecie w r. 1873 nietylko się nie usunęły, lecz owszem jeszcze się powiększyły, tak że niepodobna przypuszczać, aby Tegetthoff mógł się był przez nie przebić. Podczas gdy dawniejszemi laty znajdywano pola lodowe tylko w odległości pięciu wiorstw od wybrzeży tej wyspy, okrywają one tam teraz obszar kilkuset werstw. W razie gdyby jakiś prąd otworzył był drogę Tegetthoffowi i gdyby ten statek, opłynąwszy przylądek Nassau, dobił się był do wybrzeży Azji kędyś u ujścia Jeniseju, toby go tam niewątpliwie byli spostrzegli rybacy i koczownicy różnych szczepów sybirskich, którzy krążą letnią porą ze swojemi renami po tych wybrzeżach. Jest więc wielce prawdopodobnem przypuszczenie, że Tegetthoff dotąd uwięziony jest w lodach koło przylądka Nassau i tam też należy go szukać.“ Opierając się na tem przypuszczeniu wzywał Sidorow do składek publicznych w Rossji w celu wyekwipowania wyprawy dla odszukania ekspedycji austrjackiej i przyniesienia jej pomocy.

*) Dr. Petermann. *Mittheilungen*. 1874. str. 39.

W tem nagle rozniosły telegramy lotem błyskawicy wiadomość po Europie, że straceni podróżnicy austrjaccy wylądowali d. 3 września 1874 r. na północnem wybrzeżu Norwegji w Vardö, i wkrótce pojawiły się we wszystkich niemal pismach mniej lub więcej dokładne opisy ich pełnej przygod podróży, której owocem było odkrycie nowego lądu arktycznego.*)

Powtarzamy je tutaj w streszczeniu, trzymając się głównie oryginalnych relacyj Weyprechta i Payera.**)

* * *

Rozstawszy się z Isbiörnem ruszyła ekspedycja austrjacka szybko ku północnemu wschodowi, mając szeroko rozwarte kanały przed sobą. Popołudniu dnia 21 sierpnia prół Tegetthoff całą siłą pary rozległy obszar wolnej zupełnie od lodów wody, ale już o północy wstrzymały ławice lodowe dalszy bieg jego w odległości około 15 mil od wysp Barenta. Wiatr uciszył się zupełnie i w przeciągu kilku godzin zbiły się takie masy lodu dokoła statku, że w żadnej stronie nie było widać ani kawałka czystej wody. Weyprecht utwierdził okręt u jednej z płyt lodowych i postanowił oczekiwać wschodniego wiatru, który, jak się spodziewał, powinien rozpędzić zatory i otworzyć kanały dalszej podróży. Ale zamiast wschodniego wiatru, którego po poprzednich burzach południowo zachodnich z pewnością oczekiwał, panowała ciągle cisza, przerywana tylko lekkiemi bryzami zachodniemi. Te ostatnie sprowadzały śnieg i znaczne zniżenie temperatury, co tylko do wzmocnienia zatorów lodowych się przyczyniało. Do 9 września nic się nie zmieniło: lód był silnie zbity, w nocy spadał termometr do —15° C. i zmienne wiatry pędziły okręt wraz z polem lodowem, które go więziło, to ku wschodowi to ku zachodowi.

*) *Das Ausland*. 1874. N. 41.

**) *Die zweite öster.-ungar. Nordpolar-Expedition unter* Weyprecht *und* Payer. Weyprecht's *offizieler Bericht an das Comiteé*. Dr. Petermann *Mittheilungen* 1874. str. 417. — *Neue Freie Presse* 1874. — *Illustrirte Zeitung* Nr. 1642, 44, 45 i 48. *Neues wiener Fremdenblatt* 1874.

Dnia 9 września rozbił silny wiatr północno wschodni lody na wielkie kry, ale Tegetthoff pozostał zamarzniętym wśród jednego pola lodowego i wszelkie usiłowania, aby go wydobyć na otwarte wody nie odniosły żadnego skutku. Wkrótce też nadzwyczajnie silne mrozy zcięły znowu w jedną masę odłamy lodu i utworzyły dokoła potężny wał, którego niepodobna było ani przepiłować, ani rozsadzić. Tak uwięziony posuwał się statek mimowoli ku północnemu wschodowi, aż w końcu stracili podróżnicy z oczu wybrzeża Nowej ziemi i pożegnali się z nadzieją dotarcia do zamierzonego w tym roku kresu, zdając się zupełnie na wolę lodów i pędzących je wiatrów.

Los ekspedycji austrjackiej był rostrzygniętym, a położenie jej stało się tem przykrzejsze i niebezpieczniejsze, gdy od 13 października otaczające okręt kry zaczęły pękać i ściskać go ze wszech stron. Co chwila tworzyły się w zatorach lodowych nowe szczeliny, które zwierając się napowrót, nowe sprowadzały ściśnienia. Tegetthoff zmieniał ciągle położenie, to się podnosił, wysadzany w górę lodami, przechylając to na jedną, to na drugą stronę, to znowu opadał. Taki stan trwał przez całą zimę. Dnia 19 października zaszło słońce i kazało pomyśleć o urządzeniu się na długą noc zimową. Okręt został w jednej połowie rozstrojony i przykryty namiotem, w tylnej części bowiem przysposobiono zapasy potrzebne na wypadek rozbicia tak, aby w chwili niebezpieczeństwa można wszystko wyrzucić z pokładu na lód. Tułów okrętu opasano wałem ze śniegu i lodu, który odnawiał się nieustannie, ile razy uszkodziły go kry, cisnące się z zewnątrz. Trzymając się ciągle w pogotowiu na wypadek rozbicia, złożono zapas węgla i żywności na lodzie, wysadzono dwa czółna i zbudowano dwa domki z węgli. Ale z końcem stycznia morze tak było niespokojone i kry tak się druzgotały, że oba domki zostały w kawałki rozbite, a łodzie z prowiantami musiano co chwila przeciągać z jednego miejsca na drugie, i często niewiedziano istotnie, gdzie się z niemi schronić. Dnia 22 stycznia spiętrzyły się lody o kilka kroków od okrętu w wał do 30′ wysoki i wtłoczyły namiot do obserwacyj magnetycznych i stos węgli pod okręt. Przez pięć miesięcy, w ciągu których przez 109 dni nie pokazało się słońce, rzadko kiedy można było rozbierać sia na spoczynek; na pokładzie stała nieustannie warta i nieraz rozlegał się alarmujący okrzyk, wzywający do opuszczania okrętu.

Podporucznik Brosch, chorąży Orel, kap. Carlsen i maszynista Krisch zajmowali się pomimo tego regularnie robieniem obserwacyj meteorologicznych, chociaż instrumentów, wymagających stałego ustawienia, nie można było używać.

Pełnili oni zarazem straż na okręcie, mieniając się co dwie godziny. Dzięki baczności warty, która przestrzegała nietylko o grożącem niebezpieczeństwie, lecz i o zbliżaniu się niedźwiedzi, zastrzelono kilkanaście tych rabusiów polarnych i miano prawie zawsze świeże mięso. Zdrowie jednak nie najlepiej służyło załodze i dr. Kepes miał wiele do czynienia. Pomimo sumiennego przestrzegania wszelkich środków ostrożności, pojawiały się na okręcie choroby płucne i szkorbut, które były głównie skutkiem przygnębienia ducha i też ustały, skoro z początkiem lata położenie się zmieniło.

Tymczasem kry unosiły okręt coraz dalej ku północnemu wschodowi i zapędziły go aż poza 75° szer. a 73° dług. od Gr. Podróżnicy spodziewali się, że przybiją kędyś do północnych brzegów Syberji, ale wiatry się zmieniły i poczęły ich pędzić w kierunku północno zachodnim. Dnia 16 lutego ukazało się słońce poraz pierwszy na widnokręgu, a od 25 lutego prawie nagle przestały lody ściskać okręt. Ciągle trwające mrozy, które w końcu lutego dochodziły do —38° R. nie pozwoliły jednak prędzej aż dopiero 7 kwietnia zdjąć namiot z pokładu, założyć okna i przystąpić do robót około wyswobodzenia się z lodów.

W około okrętu, mającego tył podniesiony w górę, a przód przychylony na dół, utworzył się z gór lodowych istny mur, kilkadziesiąt stóp wysoki. Pomimo takiego owarowania, które zdawało się niespożytem, zabrano się jednak do roboty, spodziewając się, że w lecie 1873 r. kry się rozstąpią, i będzie można utorować sobie wolne kanały. W tym celu kazał kap. Weyprecht wyłomać 21 dziur w lodzie, zamierzając je następnie przez piłowanie razem połączyć i utworzyć w ten sposób kanał dokoła okrętu. Przedłużono 12′ długie piły i porobiono nowe, cięższe z grubej blachy, ale po kilku tygodniach żmudnej pracy przekonano się, że wszelkie wysilenia były daremne. Przednią część okrętu oswobodzono wprawdzie, ale z tyłu nawet w głębokości 30′, nie można było przebić się do wody i trafiano na coraz nowe warstwy lodu. Gdy i użycie min nie odniosło pożądanego skutku, a otaczające masy lodu i śniegu, które dotąd sterczały pionowo, obrywając się opadały pod spód, podniósł się okręt o 7′ nad normalną linię wodną i musiano grubemi balami podpierać maszty, aby zapobiedz niebezpieczeństwu.

W lipcu odepchnęły wiatry północne statek cokolwiek ku południowi, ale w sierpniu nastały znowu wiatry południowe i pędziły krę ku północy. Zdala zalatywał szum sunących się lodów i ciemne smugi na niebie przekonywały, że pola lodowe muszą być w wielu miejscach poprzerywane, ale kra więżąca ekspedycję austrjacką była niestety tak silną, że ani jednej szczeliny nie można się w niej było dopatrzeć, a we wrześniu począł się już tworzyć nowy lód i znikła wszelka nadzieja wyswobodzenia się. Szczęściem stan zdrowia załogi w ciągu lata zupełnie był pomyślny i z zapasów żywności wiele oszczędzono, gdyż polowanie na niedźwiedzie i foki dostarczało podostatkiem świeżego mięsa. Z rezygnacją więc oczekiwano nadejścia drugiej zimy, a z nią nowych trudów i niebezpieczeństw, gdy w tem zaszła niespodziewana, a nader ważna w położeniu wyprawy zmiana.

Już od kilku tygodni unosiły lody parostatek austrjacki po wodach, po których jeszcze dotąd żaden okręt nie krążył, i podróżnicy, rozpatrywali się dokładnie na wszystkie strony, czy gdzie nie spostrzegą nieznanego dotąd lądu. Długo jednak wytężano daremnie wzrok i już prawie stracono nadzieję zrobienia jakiegokolwiek odkrycia, gdy dnia 31 sierpnia w odległości około 14 mil morskich ujrzano wynurzający się z mgły ląd, którego południowa granica mogła leżeć mniej więcej pod 80° płn. szer. Przekonawszy się, że nie jestto jedno z owych złudzeń, jakie bardzo często zdarzają się na oceanie arktycznym, kazał Weyprecht oficerom i załodze wystąpić na pokład i rozwinąwszy wspaniałą chorągiew jedwabną, otrzymaną w darze od dam z Pola, miał stosowną do okoliczności przemowę, i ochrzcił wśród okrzyków wszystkich obecnych nowoodkryty ląd imieniem cesarza Franciszka Józefa, a wznoszący się wysoko przylądek jego, który najpierw spostrzeżono, nazwał przylądkiem Tegetthoffa. (C. d. n.)

POGADANKI.

VII.

Jest to jedyna pora roku, o której człeku przychodzi żałować, że nie jest *ritus graeci* i nie może trzymać się kalendarza juljańskiego. Tak pięknie rozwijał się karnawał, że niektórzy z moich znajomych po trzy dni nie pokazywali się w domu, jak chyba dla odświeżenia toalety: w tem traf! zapadła klamka i trzeba śpiewać „gorżkie żale.“ Z drugiej strony atoli zachodzi wątpliwość, czy naród grecko-unicki jest równie zabawnym jak rzymsko-katolicki — sądzę, że musi być coś ponurego w tańcu i rozmowie najpiękniejszych nawet dziewic, kształconych na *azbuce*. Smęt akafistów i parastasów napełniać musi powietrze dokoła.

— Cy pani uże angażyrowana?

— Tatuniu! Toj pan pytajesia mene, cy ja uże ranżerowana!

— Hospody pomyłuj!

Nie, godźmy się z naszym rzymsko-katolickim losem i napiszmy krótki nekrolog łacińskiemu karnawałowi, na zasadzie starego prawidła, że o nieboszczykach tylko dobrze mówić się powinno. Parę tygodni temu wspomniałem żartem, że bale itp. nie są bynajmniej operacjami pod względem ekonomicznym potępienia godnemi. Jak gdyby dla potwierdzenia tych słów moich, dyrektorowie tutejszych zakładów kredytowych zapewniają, całkiem na serjo, że podczas zapust tegorocznych, jakkolwiek hulaszczych i wesołych, objawił się fenomen pomyślny a niezwykły. Oto, nie było jeszcze karnawału, podczas któregoby publiczność tak mało wycofała wkładek, a tak wiele wnosiła nowych na książeczki oszczędności itp. Jest to objaw, którego sobie, krajowi i karnawałowi powinszować możemy — świadczy on bowiem, że tylko nader mała część naszych współobywateli zrujnowała się na założeniu kolei żelaznej lw.-czerniowieckiej i że zapusty są przedsiębiorstwem mniej ryzykownem od syndykatów i niedostatecznych tantiem. O złych progach i o wypadkach nadzwyczajnego wykolejenia także nie było słychać nawet wśród największego gwaru zapustnego, niechaj więc ten krótki czas saturnaljów naszych odpoczywa błogo na łonie wieków, przykryty mogiłą z orderów kotyljonowych, białych krawatek i oddeptanych korków! I —*vivat sequens!*

* * *

Rozeszła się niedawno po dziennikach wiadomość o olbrzymim spadku, który miała rodzina Estków otrzymać z Ameryki po Kościuszce. Przypadkiem jestem w położeniu podania do wiadomości publicznej kilku szczegółów o tym spadku. W r. 1856 śp. Feliks Szumlański poruszony był przez zamieszkałych w Galicji spadkobierców Kościuszki o przetłumaczenie angielskiej broszury, przysłanej im z Waszyngtonu, a obejmującej urzędowe sprawozdanie o toczącym się tam procesie spadkowym, tak blisko ich obchodzącym. Śp. Szumlański powierzył mi tę pracę — żałuję że nie zrobiłem z niej notatek, ponieważ widzę, że brak u nas informacyj co do natury spadku i wynikłego ztąd sporu. Kościuszko a 11 miljonów dolarów, to pojęcia tak niezgodne z sobą, że każdy mimowoli zapyta, jakim sposobem Cyncynnat polski mógł zostawić tak ogromną sumę? Otóż Kościuszko jako jenerał Zjednoczonych Stanów miał prawo do pensji, której nie pobierał przez długie lata, ale przeznaczył ją wraz z odsetkami na wykupywanie murzynów z niewoli, w krajach należących do Unji. Później, w Solurze, napisał testament, a raczej kodycyl, i rozporządził swojem mieniem nie wspominając o owej sumie, ani też nie wyłączając jej wyraźnie. Na zasadzie, iż późniejszy akt ostatniej woli znosi rozporządzenia dawniejsze, spadkobiercy upomnieli się o ową sumę, i rozpoczął się proces, który trwa dotychczas, podczas gdy suma ulokowana w papierach narosła już zapewne do cyfry bardzo wysokiej, może tak wysokiej, jak ją podały *Sowremennyja Wiedomosti*. O ile sobie przypominam, oprócz pp. Estków, z których jeden był właścicielem Podemszczyzny w Żółkiewskiem (majętności dziś dr. Wszelaczyńskiego) byli jeszcze w r. 1856 inni spadkobiercy w Galicji, potomkowie siostry Kościuszki, ludzie ubodzy. A ponieważ ubogie rodziny nie gasną nigdy, więc gdyby proces w sądzie dystryktu Kolumbijskiego rozstrzygniętym był na korzyść spadkobierców, to oprócz zostającego w służbie moskiewskiej p. Estki jeszcze i inni mieliby prawdopodobnie prawo do tej olbrzymiej sukcesji.

* * *

Dla purystów pewnego kroju, pożyteczną będzie rzeczą przeczytać umieszczony w „Ojczyźnie“ artykulik profesora dr. Małeckiego w odpowiedzi na kwestję, czy powinno się mówić: n a ulicy, lub też p r z y ulicy, jeżeli chodzi o czyje mieszkanie. Uczony nasz filolog stawia w tej mierze usus po nad wszelkie prawidła, a nie przyznając sposobowi mówienia tej lub owej okolicy pierwszeństwa przed drugą, decyduje, że można mówić „na“ albo przy“, podług upodobania, zważywszy że jedno i drugie zarówno jest logicznem, i zarówno używanem. Jest jeszcze więcej kwestyj, któreby potrzebowały takiego kompetentnego i doraźnego rozstrzygnięcia, nie mówiąc już o pewnych lokucjach mazowieckich „z pod ciemnej gwiazdy“ któreby nam Rusinom narzucić chciano z pewnej strony jako jedynie prawidłowe. Zwracam uwagę, że wszyscy prawie śpiewacy z Mazowsza wymawiają:

O Halino
O j e d y n o
Dziewczyno moja!

A co najpocieszniejsza to, że obstają oni przytem, że tak się wymawiać powinno, bo tak mówią w „Polsce!“ Juźci Ruś Czerwona jest dawniej

polskim krajem od Mazowsza, które dopiero za Zygmunta Augusta przyłączono do Polski, podczas gdy nas rewindykował jeszcze Kazimierz Wielki. A kiedy Masław buntował się przeciw wnukowi Chrobrego, Ruś Czerwona nie buntowała się ani razu — nie jej to wina, że ją chwilowo zagarnęli Rurykowicze. Ergo, mówi się tak, jak u nas mówią, a nie tak, jak mówią w Warszawie.

Nie o to atoli chodzi, ale o wybór między „na“ i „przy“ ulicy. Cóż będzie z trzecim, równie logicznym i używanym sposobem mówienia: „*w* ulicy.“ Jeżeli wyraz ulica oznacza dwa rzędy domów, to nie mieszka się ani na tych rzędach, ani przy nich, ale *w* nich. Gdybym śmiał turbować szanownego profesora takiemi drobiazgami, prosiłbym o Jego parere co do tej nowej trudności językowej. W Poznaniu wystarczyłoby to do zapalenia wojny domowej między pochylającymi a nie-pochylającymi samogłosek pisownikami. *Jan Lam.*

Piśmienictwo polskie.

RECENZJA

Dr. KAROLA LIBELTA.

(*Panteon wiedzy ludzkiej Bronisława Trentowskiego; tom II. Nakładem Żupańskiego; Poznań; 1875.*)

Jako człowiek jest jednością ciała i duszy, tak i empirja i spekulacja, które stanowiły tom pierwszy Panteonu, łączą się w jedność w humanistyce, będącej trzecią częścią nauk tego świata. Jest to rozległy ludzkości, albo jak go autor nazywa, człowieczeński świat. Istna to dopiero rzeczywistość. Wiedza wszelka spływa do samego człowieka, i do objawów samego ludzkiego świata. On ostatecznym i wielkim celem natury. Doń zdąża wszystko, co było realne i co było idealne; sama teologja kończyła się Bogiem-człowiekiem. Jesteśmy więc we własnych, bo w całego człowieczeństwa okolicach. Nauki tego zakresu są nas bliższe i dla tego ciekawsze.

Trzy tu otwierają się powiaty, wzięte jak gdyby z przyszłości, teraźniejszości i przeszłości ludzkiego istnienia. Socjalistyka rozświeca ostateczne cele ludzkości, chce jej szczęścia i dobra; Polityka zajmuje się jej obecnym stanem, bada środki i sposoby naszego postępu i naszej potęgi; Historja podaje obraz przeszłości naszego żywota i naszej chwały.

Teorje społeczne mimo znakomitości i nauki mężów, którzy się im oddawali, nie miały szczęścia. Kiedy imiona prawodawców, jak Solona Numy Pompiliusza, Napoleona we wdzięcznej przechowały się pamięci u potomnych; autorowie organizmów przespołeczniania ludzkiego uchodzili i uchodzą za utopistów. Nie udało się nigdy, chyba na bardzo krótki tylko czas, wprowadzić taki organizm w życie. Powód tego bardzo jasny. Społeczeństwa się tworzą nie na drodze teorji, ale na drodze praktyki. One zwolna i same przez się, przybierają kształty i formy. Są wyrobami żywota ludowego, są wykształtem jego organizmu i zdolności, a nie dadzą się jak budynek jaki, mechanicznie stworzyć i zbudować.

Humanistyka Trentowskiego nie uważa tych teorji za marzenia, choć ich niepraktyczność, a wielekroć głupotę wykazuje. Bierze je jako konieczne popędy ducha ludzkiego, ku rzetelnej i gorliwej chęci uszczęśliwienia rodu ludzkiego. Pomimo usterek, zboczeń i fałszów, zachodzą w każdej takiej teorji społecznej, głębokie myśli i spostrzeżenia, które kiedyś znaleźć mogą praktyczne zastosowanie.

Uszczęśliwienie ludzkości jest ostatecznym celem socjalistyki. Już dlatego świętego celu, musi ona najściślej być połączona z religją. „Ona gips i wapno, wiążąca cegły i kamienie budowli społeczeńskiej w mocny i wiekotrwały mur. Bez niej nie urządzi się, ani polepszy byt społeczeńskich stanów.“ (T. II. str. 28) Ztąd zakonodawcy religijni, a na ich czele Chrystus „ludzkości zbawiciel“ uspołecznili i uspołeczniają świat. Modlimy się co dzień w pacierzu: „przyjdź królestwo Twoje; bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi.“ Grzech pierworodny wedle teologji, a wedle filozofji, upadek moralny rodu ludzkiego, próżniactwo, ciemnota i występek, są przyczyną nędzy i niedoli społeczeńskiej. Praca, oświata i cnota potrafią jedynie dobre stworzyć, a złe usunąć. Zbójeckim sztyletem, hajdamackiemi nożami nie zbawia się świata. Rewolucja socjalna kończy się zawsze ludzkości klęską. Reformy wczas zaprowadzone, usuwają gotującą się już rewolucję. „Sprawiedliwość, mądrość i dobra wola na górze, zniweczą złe na dole“ (str. 47).

Wedle trzech głównych szczepów ludności europejskiej, autor Panteonu mówi o przespołecznieniach francuskich, germańskich i słowiańskich. — Francuz to stworzony socjalista. Humanistyka to mędrość francuska, szczera, gorąca, poświęcenia pełna. Ale jestto teorja ziemska, mechaniczna, prawie zwierzęca, nie ludzka. Wolność, równość i braterstwo to jej zasady. Ale te zasady zkądinąd wzniosłe, nie podnoszą ludzkość z niżyn ku wyżynom, ale każdego, kto stoi na wysokości ściągają w społeczną czerń. Gonią za równością dóbr, a nawet za wspólnością żon; chcą zagłady pracujących: możnych na korzyść próżniaków. Własność jest tylko rozszerzeniem osoby mojej, i dlatego jest święta i nietykalna. Niszcząc własność, niszczy się osobistość, a tym samym podstawę wszelkiego społeczeństwa. Ztąd owe falanstery Toceryer'go ikarje Cabet'a, St-Simoniczue uspołecznienia, udać się nie mogły. Idealizm zmienił się tu w ideologją i socjaliska poszła w pogardę. Człowiek tu środkiem tylko, machiną, a nie celem w sobie i dla siebie. Wspólność żon i wspólność mężów jest coś tak bezecnego i zwierzęcego, że się na to wzdryga serce poczciwe. Kiedy zaś Prudon dochodzi we wnioskach swoich do tego, że stwórcę naszego nazywa szatanem i wszystko złe społeczne jemu przypisuje, słusznie zapytać można z Trentowskim: „Któż tu nie zdrętwieje z oburzenia?“ (str. 60). Francuzi z gruntu rozburzają wszystko, a niezdolni coś nowego postawić.

Autor pominął socjalistyczne objawy dawnych szasów, jakiemi były misterje starożytnych ludów, związek miast wielkiej Grecji Pitagoresa, komunistyczna własność ziemi u Żydów, u Rzymian za Grachów i u słowiańskich ludów. Przechodzi tylko w teorje społeczne, jakie zaczęły się urabiać pod koniec 18go wieku. W jaskrawych farbach daje zarysy komunistów i socjalistów francuskich, chociaż ich bardzo nisko stawia pod względem rozumu i nauki. Co mówi o St. Limonie, jest przesadą. Był to człowiek wielkiej pracy i nauki, którą sam sobie zdobywał w późniejszym dopiero wieku. Otaczał się ludźmi uczonymi i tracił majątek na ich podejmowanie u siebie, ale z ich obcowania uczył się i korzystał. Może było dziwactwem, że kazał się co dzień budzić przez służącego temi słowy: wstań panie hrabio! boś przeznaczon do wielkich rzeczy; ale to pewna, że wstawał rychło, czytał, uczył się i pracował. Gdy stracił majątek zdobywał go sobie napowrót pracą fabryczną. Uratował ideę społeczną, i całe życie swoje jej poświęcił.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*Ciąg dalszy*).

(*Promenade autour du Monde par le Baron de Hübner; 3 edition; Paris. Hachette — 1874. — Przechadzka dokoła świata barona Hübnera.*)

Mój współbiesiadnik, rządzca z Zachodu, należał widocznie do starej szkoły; trzeba się było wystrzegać, aby go mimowolnie nie rozdrażnić.

„Tak! — zawołał wreszcie rządzca, nasyciwszy się wprzód mile ambrozją otrzymanych grzeczności; tak! mamy wielki kraj, jesteśmy narodem zaszczytnym, lecz cóż? kiedy przytem wszystkiem jesteśmy chorzy. Dolegliwości nasze są wynikiem dzieciństwa zbyt wczesnie dojrzewającego i rozrostu zanadto pospiesznego. Jako młodzieńcy rozkwitaliśmy szybko, w wieku dojrzałym zawieleśmy przedsiębrali i wycieńczyliśmy się brzemieniem ogromnej pracy. Jest możebne, ale nie prawdopodobne, żebyśmy mogli żyć starcami. Unja, lękam się tego — może nie mieć przyszłości.

„Chcesz pan wiedzieć — przedłużał — moje zdanie nad usamowolnieniem murzynów? Nie podobna przewidzieć na pewne skutków, lecz wedle niektórych wskazówek akt wzmiankowanego wyswobodzenia stał się wyrokiem śmierci dla rasy czarnej. Negr jest leniwym i nieoględnym z przyrody. Będąc wolnym pracuje mało albo wcale nie pracuje, nie troszczy się o jutro. Rozumie się, że i pod tym względem nie ma reguły bez wyjątków. Otóż, wracając do rzeczy, od chwili zniesienia niewoli w Stanach południowych właściciele plantacyj najmują czarnych za pieniądze, lub też, co jest nierównie lepiej, zapewniają im część na nich przypadającą czystej intraty. Ten system, chociaż w rozmiarach nader ograniczonych, idzie dosyć dobrze. Lecz, powtarzam, że Negr pracownik i gospodarny jest wyjątkiem. Jeżeli ostatnie zbiory bawełny są obfitemi, nie jest to wyłączną zasługą, jak niegdyś bywało, murzynów. Przyczynili się oni do tego częściowo tylko, nie są bowiem w możności utrzymania konkurencji z białymi, przez co popadną w niedostatek, a potem w nędzę. Oprócz, że są nieporadni, nie cenią węzłów pokrewieństwa: nigdy nie zajmowali się należycie swojemi dziećmi. Leżało w interesie dziedzica, pragnącego utrzymać i powiększyć swój kapitał, jeżeli nie z pobudek ludzkości, to z nadziei korzyści, pielęgnować murzynki w poważnym stanie i ich potomstwo. Dzisiaj śmiertelność u nich przerażająca! Przedtem, gdy w Stanach wolnych czarni mnożyli się w zakresie jednej i tej samej liczby, albo ubywali, to w Stanach niewolniczych przeciwnie, po odtrąceniu ludności murzynów dowożonych, rasa czarna zwiększała się w stosunku zadziwiającym. Fakt ten w ogóle da się objaśnić przyczynami:

„Najpierwszą była pieczołowitość właścicieli, o której dopiero wspomniałem; drugą jest słabostka czarnych, zwłaszcza kobiet, do koloru białego. Przed zniesieniem niewoli w Stanach południowych małżeństwa czarnych zawierały się tam między nimi samymi. Łączenie się niewiast czarnych z białymi, nieuprawnione zresztą należało do rzadkich wypadków. Teraźniejsze prawo nie staje już na przeszkodzie do łączności dwóch ras; a ztąd napływ do Stanów południowych amerykańskiej ludności roboczej z północy ułatwi i powiększy tam związki małżeńskie. Tak więc z jednej strony zgubne następstwa próżniactwa i nieprzezorności, nędza i choroby, zgładzające ze świata nadewszystko drobne dziatki, zmniejszać będą co raz bardziej liczbę ludności murzyńskiej; z drugiej strony, mniejszość tej ostatniej, co za pomocą pracy zdobędzie sobie dobrobyt, wydawać zechce swe córki za białych lub przynajmniej za mniej czarnych od siebie. Widzisz pan zatem, że zarówno wady jak

i cnoty murzynów, próżniactwo czy trudy, współubiegać się nie omieszkają o zatratę pokolenia etjopskiego.“

Co do mnie, zadaję sobie jedno pytanie, a mianowicie: czy murzyni pracują, czy nie? Rozwiązanie całej kwestji mieści się w odpowiedzi na to. Ale cóż — kiedy tutaj zdania się krzyżują. Oto, co zresztą powiedział mi pewien publicysta wytrawny i wysoko postawiony w opinji amerykańskiej, a nawet przedstawiciel jej na jednym z dworów europejskich:

„Utrzymywano i wierzono powszechnie, jakoby murzyni usamowolnieni nie chcieli pracować. Ostatnie ich zbiory bawełny dowodzą jednak, że przy uregulowaniu im płacy i przypuszczeniu ich do współudziału w zyskach, zamienili się w wybornych robotników. Miano ich za głupich, a pokazało się, że obdarzeni niepoślednio władzami umysłowemi, zdradzają niezmordowaną ochotę do kształcenia siebie i swego potomstwa.“

Tenże sam dyplomata stwierdził polityczną doniosłość szerzenia się rasy czarnej, mówiąc:

„Stronnicy usamowolnienia wyrażali obawę, aby dawni właściciele nie doszli, drogami pokątnemi, do obejścia artykułów prawa, przeistaczając wzniosłe dzieło filantropijne w literę martwą na papierze. W celu zaradzenia temu niebezpieczeństwu, dopuszczono murzynów do głosowania powszechnego. Następstwem tego będzie, że w przyszłych wyborach na prezydenta czarni staną się panami sytuacji i rezultatu tychże wyborów. Dla tego to demokraci i republikanie współubiegają się o ich łaskawość, czyniąc zabiegi o pozyskanie głosów.“

Niech mi wolno będzie dodać na tem miejscu, że i prezydent Grant nie lekceważy wpływu czarnych. Na Południu władza spoczywa w ich ręku prawie. W Karolinie wice-prezydent prawodawczy jest rodowitym murzynem. Zanotujmy, co skreślił w tym przedmiocie „New-York Observer:“

„Położenie Karoliny południowej nie do ścierpienia! Pochodzi ono z dwóch przyczyn: najprzód, że czarni są tam liczniejszymi od białych; powtóre, że dawni plantatorowie odrzucają nowy porządek, nie chcąc dzielić z murzynami rządów stanowych. To sprawia, że murzyni, tudzież biali świeżo osiedleni w prowincji załatwiają sami sprawy publiczne. Na 125 członków Izby niższej, przypada 90 murzynów, — podobny stosunek i w Izbie senatorskiej. Tylko, niestety, że większa część członków są indywiduami przy swojem zepsuciu przedajnymi. Zważyć przytem należy, iż posiadacze ziemscy w Karolinie wypadkami wojny stracili wszystko co mieli oprócz gleby; że brak im gotówki; że w ostatnich latach podatki ciągle wzrastały i że najwięcej one ciężą na właścicielach...“ Artykuł umieszcza w końcu obraz trwonienia marnie grosza publicznego.

Objaśnienia powyższe, tudzież inne podobnej natury, stwierdzają jednogłośnie obywatele Południa, a zadają im kłam przeważnie mieszkańcy Północy, których spotykałem. Przykim więc jest słuszność i jak ją rozeznać?.... Pozostaje atoli jedyny fakt, na który obie strony się zgadzają, a to: iż na Południu czarni panują do pewnego stopnia nad białymi, będąc w niektórych Stanach siłą rządzącą, w innych składając większość w Izbie prawodawczej; a wszędzie stanowiąc potęgę, rzeczywistą potęgę, oni, którzy przed kilku laty byli uważani w tychże samych miejscowościach za istoty stojące na ostatnim szczeblu społeczeństwa.

Łatwo przeto wyobrazić sobie nienawiść, zajadłość i rozpacz tlejącą w sercu białych, nie przeciw eks-niewolnikom, ale przeciw Północy, będącej, wedle nich, sprawczynią nieszczęść. Bo rozglądnijmy się tylko, co się dzieje w Stanach południowych. P. Davis przebiega kraj tryumfalnie; jego przemowy zapalają słuchaczy. Streszczają się one w dwóch słowach: milczenie i nadzieja!... a to ma znaczyć: zemsta! skoro godzina na nią wybije. Posiadacze nieruchomości kolonialnych wstrzymują się od wotowania, trzymając się na uboczy, i zostawiając wolne pole ku temu murzynom i przybłędom z Północy. Rządowi zbywa na ajentach. Mianowani np. poborcy podatków już to z przestrachu, już jako tajni poplecznicy sprawy Południowców, podają się do dymisji. Kobiety zaś, jako namiętniejsze i odważniejsze od brzydszej połowy rodzaju ludzkiego, podtrzymują ogień święty patrjotyzmu, zakrawającego w obec kodeksu i trybunału na zdradę i rewolucję.

Taki obraz istotnego stanu rzeczy narysowany mi był przez świadków bezstronnych, przez członków ciała dyplomatycznego, także przez podróżnych wracających z południowych okolic, a najzupełniej nie biorących udziału w czynnościach ścierających się stronnictw. Na niektóre z przytoczonych informacyj zgadzają się nawet przeciwnicy ubiegłej konfederacji. Z tąd ostateczny wniosek, uznany z resztą przez ogół, iż przewaga polityczna żywiołu murzyńskiego w Stanach południowych Unji jako istniejąca nie ulega wątpliwości. Taka zaś anomalia trwać długo nie może. (C. d. n.)

Listy z Krakowa.

III.

Kraków w Lutym 1875.

Zaległem chwilowo w korespondencjach do „Tygodnia,“ ale bo też prawdę mówiąc, ważniejszych objawów żywotności od czasu mojego ostatniego listu, wolne niegdyś i niepodległe, a względem niejednej sprawy godnej żywszego zajęcia i dziś jeszcze ściśle neutralne miasto Kraków nie złożyło. Karnawał przebiegł nam normalnie, Rada miejska obradowała co czwartek z punktualnością przykładną, na konkurs dramatyczny nadesłano blisko półsetki utworów i komisja sądzić je mająca rozpoczęła swoje czynności jak corocznie, w teatrze co sobotę był benefis a z benefisem nowa sztuka, odczyty w muzeum przemysłowem odbywały się według programu, pisma perjodyczne poczynając od „Czasu“ a kończąc na nowo powstałych „Szkicach i Przeglądzie krytycznym“ wydawały numera regularnie w godzinach i dniach oznaczonych, i to nawet, jak się niedawno okazało nawet takie pisma, które od początku swego istnienia nie miały „de facto“ ani jednego prenumeratora we wszystkich ziemiach polskich, w których cenzura prewencyjna nie istnieje, — co poniedziałek była recepcja u prezydenta, co dzień powszedni jakaś sprawa o kradzież albo gwałt publiczny w sądzie karnym, co święto — nabożeństwo we wszystkich kościołach, słowem działo się tylko to, co można było naprzód opisać i jako korespondencję przyszłości światu ogłosić. Że Kraków jest najwłaściwszem miejscem do pisywania takich korespondencji a la muzyka Wagnera, wykazałem już w poprzednim liście. Nie chciałem się więc powtarzać i nicować przysłowia o szewcu i najgorszych butach na dowód, iż Kraków, który ma zegarów publicznych bardzo mało a i te które ma chodzą jak im się podoba, mimo to przecież ze wszystkich miast pod słońcem jest największym niewolnikiem zegaru.

W szeregu przecież spraw codziennych i zwykłych, które na lata całe, jak przejście Wenery przez tarczę słońca obliczyć i przepowiedzieć się dadzą, znalazły się dwie wyjątkowe, o których nie można było z góry zapisać w kalendarzu, że w tym a tym dniu miesiąca, razem z nowiem lub pełnią, koniecznie zdarzyć się muszą. Sprawom tym na imię: plany restauracji Sukiennic i odczyty o teorjach naukowych p. F. H. Duchińskiego; o tych dwóch rzeczach zatem pomówimy w niniejszym liście.

Co do planów odnowienia Sukiennic, uprzedził umie wprawdzie w waszem piśmie p. W. J. Wdowiszewski, za co mu wdzięczny jestem, gdyż tak fachowo uzasadnionego, surowego ale sprawiedliwego, ostrego a beznamiętnego sądu o nich wydaćbym z pewnością nie umiał, zajmując się jednak tylko kwestją restauracji Sukiennic i temi planami p. W. nie mógł zdawać sprawy z wrażenia, jakie one zrobiły w Krakowie: ten przedmiot mi zatem pozostał.

Wrażenie to było niezwykłe. Puste zazwyczaj sale wystawy sztuk pięknych zaludniły się wyjątkową liczbą zwiedzających podczas ich wystawy i wystawy „Dzwonu“ Matejki. Przyczyną tego był w znacznej części arcy chwalebny i uzasadniony egoizm Krakowa. Kocha się on w sobie, w swojej przeszłości, w swoich Sukiennicach i w swoim starym Zygmuncie, dumnym jest z tej swojej ojcowizny i pod tym względem nikt go niezawodnie ganić nie będzie. Ale w znacznej także części wystawione do oglądania plany restauracji Sukiennic zainteresowały miasto tem, że były jako znana na naszej także scenie opera Donizettego p. n. „Córka pułku,“ — poczuwających się do ojcostwa miały cały regiment. Nie piszę tego bynajmniej w zamiarze oskarżania p. Prylińskiego o korzystanie z cudzej pracy, o strojenie się w cudze piórka, owszem pragnąłbym jak najszczerzej i najniedwuznaczniej wyrazić uznanie dla skromności młodego pracownika, którzy nie dlatego żeby się nie czuł na siłach do samodzielnej pracy, ale dlatego że się lękał brać na siebie samego zbyt ciężkiej odpowiedzialności, zasięgał rad starożytników i artystów, i robił dla nich ustępstwa ze swych własnych — któż wie czy nie lepszych i szczęśliwszych pomysłów. Z tąd jednak poszło, że każdy, czyją radę choćby w najmniejszej cząstce artysta uwzględnił, poczuwał się do autorstwa projektu, a następstwem zbytecznego uwzględniania rad obcych stało się może to, że projekt cały nie jest ani organiczną całością, ani chemiczną kombinacją, lecz techniczną mięszaniną najróżnorodniejszych i najbardziej dysharmonijnych stylów, epok i pomysłów....

Tą przecież rozmaitością najłatwiej było porwać massy. Każdy tam mógł znaleźć co mu się podobało serdecznie i coby pragnął widzieć urzeczywistnionem na jednej z fasad starożytnych Sukiennic. Świetne prawdziwe wykończenie i wykolorowanie planów dokonało reszty. Malunkiem p. Pryliński chwycił cały ogół za serca, nikt nie chciał wierzyć tym nielicznym, którzy utrzymywali, że całe to malowanie było co najmniej zbyteczne i że projekt na papierze przyjemny dla oka, w rzeczywistości budziłby miejscami humorystyczne a miejscami nawet wstrętne a przynajmniej przykre wrażenie. Stał się zatem jeden głos tylko, że projekt p. Prylińskiego wykonanym być musi, a pod wpływem tego głosu nawet niektórzy specjaliści, co wczoraj jeszcze wzruszali na te plany ramionami, nazajutrz oświadczali się za nim.

Przystąpiono do wyboru znawców, ażeby projekt ocenili, ale któż u nas nie jest znawcą? Ów jest biegłym w archeologji, a przecież Sukiennice to zabytek starożytny, ów jest znakomitym malarzem, a projekt przecież malowany tak świetnie, inny przepysznie artykuły ekonomiczne pisze, a więc i on potrzebny, bo w wydatkach na restaurację ekonomja rzeczą pierwszą, inny się wsławił jako sędzia spraw kryminalnych, niechże i on sądzi czy autor planów jakiego kryminału nie popełnił, inny jeszcze umie postawić dom, jak mu kto plan narysuje, no, to już niezawodny architektoniczny koneser, a inny wreszcie nie jest ani starożytnikiem, ani ekonomistą, ani sędzią, ani fabrykantem perspektyw teatralnych, żeby mógł osądzić jak gmach w perspektywie będzie wyglądał, nie jest ani malarzem ani murarzem z zawodu ale jest dzieckiem krakowskiem, zna każdą ulicę każdy dom, każdą taflę chodnika, każdy kamień w bruku, kogóż jeśli nie jego do sądzenia powołać? Z takich żywiołów powstały dwie ankiety, z których jedną zatytułowano artystyczną, drugą techniczną i rozpoczęła się dyskusja.

Co tam na tej dyskusji mówiono tegobym w korespondencji nie pomieścił, chyba że osobny dodatek dla niej ogłosić wzięłaby was ochota, a przytem nie byłoby i łatwo, bo stenografów nie było, w ożywionej zaś rozprawie, nieraz po dwóch i po trzech mowców jednocześnie głos zabierało, — dość że w trakcie dyskusji, niebardzo spodziewanie spadły dwa artykuły, rzecz u nas podwójnie niezwykła, bo napisane przez ludzi fachowych i podpisane nazwiskami autorów: jeden p. W. J. Wdowiszewskiego w „Tygodniu“ i p. A. Nowickiego budowniczego miasta Krakowa w „Czasie,“ i oba wypowiedziały poważnie, ale stanowczo, że restaurowanie Sukiennic podług planów p. Prylińskiego jest niemożebne.

Jakie wrażenie te artykuły na ankietach zrobiły, tego jeszcze nie wiem, ale zapewnić was mogę, że nie wszyscy ci, którzy wczoraj za projektem p. Prylińskiego z całych sił obstawali, dziś jeszcze do wczorajszych pochwał się przyznają.

Zdaje mi się, że na całej tej sprawie wyszli trochę niedobrze nasi „znawcy“, bo sobie przed światem cokolwiek popsują opinję, ale najgorzej, a zupełnie niezasłużenie wyszedł p. Pryliński, który za rok pracy, za najlepszą wolę, za szczerą chęć oddania miastu przysługi, spotka się prawdopodobnie z przykrym zawodem, a któremu za chwilowy tryumf zapłaciła niezbyt miłą monetą surowa bardzo i pod pewnym względem może niezupełnie zasłużona kry-

tyka. Jestem przekonany, że gdyby młody artysta więcej swoim siłom zaufał, gdyby zamiast ulegać radom niespecjalistów, zamiast czynić ustępstwa od swej myśli dla dogodzenia rozmaitym i krzyżującym się życzeniom różnych powag, przeprowadził konsekwentnie i jednolicie ogólną ideę, bez której nie mógł przecież przystępować do tej pracy, dzieło jego może wówczas okazałoby się odpowiedniem, a gdyby nawet nie zyskało uznania, nie naraziłoby się na zarzut bezmyślności. Szkoda więc, że autor planów tak nie postąpił, że jedynych przewodników artystycznych nie szukał we wzorach znakomitych pomników architektury że za jedynego doradzcę co do strony technicznej nie wziął dzieł traktujących budownictwo jako naukę, z całą ścisłością matematyczną jakiej ta sztuka wymaga. Dla prawdziwego przecież talentu takie potknięcie się nie jest straconem. Krytyka, choćby najsurowsza, zraża i zniechęca tych tylko co go nie mają, o p. Prylińskim tego powiedzieć nie można, choćby tylko dlatego, że same błędy jakie w swoich kompozycjach popełnia są, już niepospolite i pewnego wyższego polotu ducha dowodzą, możemy też być pewni, że następne dzieło młodego adepta witruwjuszowej sztuki, samodzielnie poczęte i wykonane, złoży nam tego talentu dowód dodatni.

Jak teraz powiadają specjaliści, że się Kraków na planach p. Prylińskiego nie poznał, tak prawdopodobnie później powiedzą, że się jego Akademja umiejętności na p. F. H. Duchińskim poznać nie umiała. Duchiński dla nas jest pewnego rodzaju zagadką, ot taką np. jak Hoene-Wroński. Nie ma w kraju ukształconego człowieka, któryby o nich obu nie wiedział i któryby nie wiedział o tem, że ich teorje i pomysły znajdowały lub znajdują wielkie uznanie w uczonym świecie zagranicy, ale na palcach policzyłby tych ukształconych ludzi, którzy wiedzą dokładnie i szczegółowo kto był jeden i kto jest drugi, czem nauka jednego i drugiego różni się od tej nauki, jaką bez wielkiego mozołu znaleźć można w przyjętych i za dobre uznanych naukowych podręcznikach. Dla ogółu obaj oni są znakomitościami, powagami, w które się jednak nie dowierza cokolwiek i które się posądza o troszkę.. warjacji. Obaj tworzyli jakieś nowe nauki. Wroński utworzył jakąś algorytmję, Duchiński tworzy jakąś nową historję. Należałoby się zapoznać bliżej z temi naukami, ale, nuż się pokaże, że one tego nie były warte, człowiek tylko darmo straci czas i mozół, i natężenie myśli nie-małe, bo obaj nie mają daru przystępniejszego i popularnego wykładu. Ta myśl wstrzymuje nie jednego, bo prace obu albo porozrzucane tak, że się do nich dobrać trudno, albo zgoła nie przystępne, bo spoczywają w rękopismach. Co tu począć?

Że zwykli śmiertelnicy tak patrzą na Duchińskiego, to rzecz prosta i naturalna, ale że tak samo patrzy na niego nasza Akademja to rzecz... jeszcze naturalniejsza. Jeżeli pospolity śmiertelnik żałuje czasu i trudu na obeznawanie się z nauką, którą posądza, że jest może studjowania nie warta, tembardziej Akademja, która ma do stracenia nietylko czas i trud, ale także swoją powagę. Z tego powodu wszyscy znakomitsi nowatorowie w naukach mieli zawsze najwięcej do walczenia z Akademjami, które są niby „izbami wyższemi“ w naukowej rzeczpospolitej, senatem naukowym, złożonym przeważnie z konserwatystów, jak każdy senat na całym świecie.

(D. n.)

List z Londynu.

Londyn dnia 26. Stycznia 1875.

Szanowny Redaktorze! Od jednej z pięknych czytelniczek „Tygodnia“ otrzymałem właśnie list, na który pragnę odpowiedzieć za pośrednictwem Twego pisma. Przyjm itd.

Droga Pani! Robiąc uwagi nad memi biednemi „Obrazkami,“ w szlachetnem oburzeniu piszesz mi: „Anglików nie lubię — egoistami gardzę!“ Pani jednej, wolno jest podobnie się wyrazić, pani, której życie przechodzi na ciągłych poświęceniach dla rodziny, kraju i na serdecznej pomocy tym wszystkim, którzy cię otaczają. Oburzenie Twoje droga Pani, jest tak naturalnem, jak prawdziwem jest przekonanie zasługujące ze wszech miar na szacunek ze względów usposobienia, nie mogącego znosić egoizmu, który w ostatnich latach zdjąwszy rozliczne maski pod któremi się ukrywał, szydersko i otwarcie się do nas uśmiecha.

Czy jednak Anglicy są uosobieniem egoizmu, i czy mamy prawo, my Polacy, gardzić za to nimi, mimowolnie nastręcza się pytanie, na które chociaż po krótce odpowiedzieć pragnę.

Najwięcej są zakorzenione u nas, a pewno i w całej Europie, tak nazwane „wyrażenia utarte,“ które tylko dla tego, że są utarte, stają się powszechnemi, decydującemi, nie znoszą żadnej apelacji i żadnych protestów. Powiedzieliśmy sobie, Anglicy są egoiści, zdanie to powtórzyło zręcznemi frazesami kilku znanych pisarzy, uwierzyliśmy, a że wiara nie znosi wątpliwości, nie było więc zaprzeczań....

W ostatnich czasach wynaleziona przez tych egoistów statystyka, najdzielniej ich broni. Ona to argumentami niepokonanych niczem cyfr, opowiada o egoistycznych wielkich ofiarach tego narodu. Zacząwszy od szpitalu Gaysa, a skończywszy na miljonach funtów wydawanych przez pannę Barn. Burdet-Kutz, która buduje całe miasta większe od Krakowa i Lwowa, dla zmęczonych pracowników na kawałek chleba, gdy pierwszy pracę całego życia poświęcił, aby wybudować gmach i uposażyć go dla wszystkich bez wyjątku, co zastukają do jego drzwi o pomoc w imię braterstwa i ludzkości... Między pierwszym, a drugą, tysiące znanych i głośnych, składających tysiące funtów, a za nimi miljony nieznanych, cichych jałmużników.

Powstają instytucje z początku małe, ubogie, zaledwo w parterowych domkach o trzech pokoikach się mieszczą. Lecz gdy założyciele zdadzą egzamin wytrwałości i pracy, ofiary, zapisy i datki płyną nieprzerwanie, domek znika, lub zmienia się na schronienie odźwiernego przy wejściu do wspaniałego gmachu, w którym tysiąc łóżek dla dzieci, a drugie tysiąc przychodzi z matkami po lekarstwa i buljon. Jak długo na tą przemianę potrzeba czasu, sprawiedliwie zapytasz się, droga Pani. Tylko lat dwóch. Tak powstało i powstaje tysiące szkół, instytucyj, gmachów, z przykutemi do siebie miljonami, aby wzrastały i żyły. W jednym roku w Londynie budują dziewięćdziesiąt okazałych budynków na szkoły, z dobrowolnych prywatnych składek...

Gdzie więcej zrobiono dla robotnika jak w Anglji? Gdzież większy podatek dla biednych a wszyscy kalecy, lub ociemniali z prawem żebrania na ulicach, — zamożni.

Statek się rozbija, tonie kapitan, ofiar wołają dla żony i dzieci! I w przeciągu miesiąca składają wdowie 200.000 guldenów. Egoiści! Nie dość na tem, na sprawy misji, dla opowiadania ewanielji i szerzenia chrześcijanizmu, Anglja wydaje po za granice państwa 20 miljonów guldenów rocznie tylko z ofiar i składek wiernych. Egoiści! Otwierają po kapitulacji bramy zgłodniałego Paryża, Londyn Paryżowi posyła żywności w prezencie za parę miljonów franków. Nie posłały Hiszpanja, Włochy, Szwajcarja i Austrja. Nareszcie to stado egoistów nazwane Anglikami, ma w pośród siebie tysiące „oryginałów,“ którzy życie całe pracują, dla urzeczywistnienia jednej myśli, jednego dzieła. My nie mamy oryginałów, u nas jednakowo, spokojnie, gładko, u nich pochód nastrzepiony pomnikami.....

Nareszcie oni mają pisarzy, których zazdrości im świat. W ich beletrystyce jest ciepło uczucia i nie wysuszone łzy, ogień zapału, humor i dramat. W ich dramacie prawda i przerażenie, w poezji natchnienie i spokój. Oni uczą nas historję pisać, rozwiązują zagadnienia społeczne i z za grobu ich mędrce zostawiają zarysy nowej prawdy, którą zdolny stworzyć rozum, zbudowany na bezgranicznej miłości wszech-świata. Ich podróżnicy mogąc żyć w pałacach umierają na pustyniach, piasku z głodu i pragnienia dla sprawy cywilizacji i nauki.... Egoiści!

A my, naród poświęcenia i bezinteresowności, miljony przegrywamy na giełdzie, w chwili gdy nam brak jednego centa od głowy na całą ludność dla złożenia ofiary w roku stuletniej niewoli, na światło dla narodu, a światło daje siłę. Anglicy za miljony sprowadzają dzieła sztuki z całego świata, a my nie możemy zakupić jednego własnego obrazu, chociaż i u nas wprawdzie nie wiele, zawsze jednak jeszcze zostały się miljony.

Nakoniec, w Anglji kobieta wywalcza sobie co dzień szersze koło równouprawnienia, młoda dzieweczka piękna jak wiosenny poranek na wielkich mittingach rozbiera najważniejsze zagadnienia wychowania, aby potem ze wzruszenia i wysilenia płakać na piersiach matki, gdy u nas kobieta jeszcze niewolnicą najgrubszego egoizmu mężczyzn, szyderstwa, gdy się odważy upomnieć o swoje prawa w społeczeństwie — obywatelki — i w rodzinie, pani!

Nie sądź jednak, droga Pani, abym ja tu widział samą doskonałość, jestem daleki od podobnego zaślepienia i podobnych sądów. Lecz jeżeli idzie o oddanie sprawiedliwości, pracy i ofierze, bądźmy bezstronni i przyznajmy, że tutaj jest większa, jak gdzieindziej.

Tobie więc tylko Pani, której życie jest pasmem poświęcenia, wolno zarzucać Anglikom egoizm, inni niechaj zamilkną.

Przyjm wyrazy głębokiego poważania i szacunku.

Sewer...

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Akta grodzkie i ziemskie; nakład Wydziału krajowego; tom V. Lwów 1875.

Akta powyższe, znajdujące się w tak zwanem bernardyńskiem Archiwum lwowskiem, dzięki fundacji śp. Aleksandra hr. Stadnickiego, wychodzą od lat kilku tomami i przyczyniają się w wielkiej mierze do uzupełnienia naszej historji. W tomie niniejszem znajdują się dokumenty od r. 1330 do 1469 między niemi wiele ciekawych odnoszących się do stosunków miasta Lwowa z onych czasów. Obszerniejszą recenzję wkrótce podamy.

— Po dziesięciu latach; Lwów 1875.

Bezimienny autor pracy niniejszej, Litwin jak się dowiadujemy z przedmowy, wróciwszy po dziesięciu latach z Sybiru, spisuje wspomnienia dawne, a połączywszy je z wrażeniami jakich teraz doznaje, wskazuje narodowi drogi, któremi w życiu politycznem i społecznem na przyszłość kroczyć powinien. Z krótkiej jego pracy wieje myśl poczciwa, głęboka miłość kraju i pragnienie postępu, a chociaż autor nie jest jeszcze wolny od ideologji, chociaż trzeźwym politykiem i głębokim znawcą teraźniejszych stosunków nie moglibyśmy go nazwać, mimo to pracę jego dla zalet powyżej wymienionych czyta się z przyjemnością, tem większą, że język jest poprawny i zwięzły.

— Pogląd na rozwój zakładu zdrojowego w Krynicy, skreślił Michał Zieleniewski; Kraków 1875.

— Rocznik dla archeologów, numizmatyków i bibliografów za rok 1871; wydał Dr. Stanisław Krzyżanowski. Kraków — 1874.

Trzeci to już rocznik wydany własnym nakładem p. Stanisława Krzyżanowskiego. Jest to ofiara zasługująca pod każdym względem na uznanie, a za którą wydawcy wdzięczność się należy. W roczniku tym znajdujemy najprzód bardzo zajmującą rozprawę niedawno zgasłego hr. Eustachego Tyszkiewicza: „O archeologji na Litwie“. Następuje rozprawka Dra. Józefa Rollego „O drukarni i sztychami w Berdyczowie“, którą można uważać jako uzupełnienie tego, co J. S. Bandtkie w swojem dziele p. t. „Historja drukarń w Polsce“ o Berdyczowskiej drukarni powiedział. Dalej idzie Wład. Siekierskiego ciekawa rozprawa p. t. „Zabiegi numizmatyka polskiego 18. wieku“, potem Wł. Górskiego wiadomość „O zbiorach naukowych, pozostałych po ś. p. Konstantym Podwysockim;“ praca ta już nam od dawna znana, wyszła bowiem w Krakowie w r. 1872 osobno. Następuje dalszy ciąg Dra. Alfreda Brandowskiego obszernej rozprawy p. t. „Założenie uniwersytetu krakowskiego w r. 1364“ Tutaj przedstawia nam autor historję fundacji w prawdziwem świetle i wykazuje, że uniwersytet krakowski założonym został w r. 1364 nie na wzór paryskiego, jak inne współczesne mu uniwersytety w Europie środkowej, ale na wzór uniwersytetu w Bononji. Znajdujemy dalej w tym roczniku wspomnienie o życiu i pismach badacza Tadeusza Wolańskiego; sprawozdanie z czynności różnych towarzystw archeologicznych, naukowych i t. d. odczyty popularne lub wykłady na wszechnicach polskich z archeologji miane z r. 1871; nabytki w ciągu roku muzeum urzędowych i prywatnych, jakoteż bibliotek. Jest tu w tym rozdziale podana przez Dra. Wład. Wisłockiego wiadomość o nabytych przez bibliotekę Ossolińskich rękopisach i drukach. Dalej następują artykuły o wykopaliskach; spis prywatnych zbieraczy z wyszczególnieniem ich zbiorów, (jestto dopełnienie spisu znajdującego się

w dwóch pierwszych rocznikach) prace i poszukiwania archeologiczne prywatnych archeologów w ciągu roku 1871; nekrologja zmarłych archeologów; bibliografja dzieł dotyczących archeologji wydanych w r. 1871 i kronika. W końcu znajdujemy krytykę dzieł należących do tego przedmiotu. Dział ten obrobiony jest po większej części przez samego wydawcę, któremu nie można odmówić znajomości traktowanego przez niego przedmiotu.

Wiadomości z kraju i ze świata.

— Przedstawienie teatralne z dnia 10. b. m. z którego część dochodu dyrekcja przeznaczyła na pomnożenie funduszu, za który będzie kupiona „Unja" Matejki, wypadło bardzo dobrze. Publiczności było nadspodziewanie wiele. Grano „Samsona" Kornela Ujejskiego; „Przed śniadaniem" Al. hr. Fredry (syna) i „Broń niewieścią" z niemieckiego. W obu ostatnich komedjach wystąpiła pani Zimajer, którą publiczność serdecznie nagradzała oklaskami. Nie miejsce tu rozpisywać się o grze artystów. Poprzestajemy dziś na zanotowaniu, że prócz pani Z. prawdziwą furorę zrobił tego wieczora grą swoją p. Fiszer. Już to w rolach charakterystycznych artysta ten robi niesłychane postępy. Jeżeli w tym stopniu dalej rozwijać się będzie, wkrótce będziemy mieli z niego pierwszorzędną siłą sceniczną, i to nie tylko we Lwowie ale i w całej Polsce. Kwota zebrana dotąd we Lwowie na zakupno „Unji" dochodzi cyfry 7.000 guldenów. W Krakowie jest przeszło 3.000.

— Dnia 21. b. m. odbędzie się koncert ulubionego naszego pianisty p. Ludwika Marka. Program będzie bardzo doborowy i obfity. Dziś, gdy karnawał skończył swoje życie szalone, przyjemność taka jak słyszenie pięknej gry p. Marka będzie dla publiczności bardzo pożądaną.

Literatura, sztuka i nauka.

— Z końcem września r. b. odbędzie się we Lwowie zjazd lekarzy i przyrodników polskich. Ostatnie zebranie przyrodników polskich odbyło się w r. 1869 w Krakowie. Następne miało się odbyć w Poznaniu, ale na przeszkodzie stanęły wypadki polityczne i wojna francusko-pruska. Spodziewamy się że zjazd tegoroczny będzie liczny. Inicjatywa wyszła od lwowskiego towarzystwa lekarskiego.

— Zaszczytnie znana w historji wydawnictw polskich, księgarnia J. K. Żupańskiego w Poznaniu, przygotowuje teraz dzieło, które będzie prawdziwą ozdobą nie tylko naszej literatury ale i sztuki. Oto pt.: „Zawsze oni" wyjdą obrazki społeczne 18. wieku w Polsce, od Konfederacji Barskiej począwszy aż do legjonów polskich we Włoszech, spisane przez Bodzantowicza (Kaźmierza Suffczyńskiego) a ilustrowane przez J. Kossaka i ozdobione nigdzie niedrukowanemi epigrafami W. Pola. Całe dzieło będzie zawierało 35 rozdziałów i do 50 drzeworytów, wyciętych w Paryżu. Wyjdzie ono w ciągu r. 1875 w 30. zeszytach. Polegając na sądzie J. I. Kraszewskiego, wypowiedzianym w jednem z pism warszawskich, jesteśmy pewni, że rysunki J. Kossaka wypadną świetnie. Zamiast polecać to wydawnictwo wprost od naszej redakcji, poprzestaniemy na przytoczeniu następującego ustępu z przysłanego nam prospektu, który wartość dzieła najlepiej tłumaczy:

„Są w życiu narodów epoki, w których one rozkwitują najszlachetniejszemi siłami swemi i do których myślą i sercem wracają potem jak do źródła, aby z niego życia nowego zaczerpnąć, — taką w ostatnim wieku dziejów Polski jest epoka odrodzenia, poczynająca się z Sejmem czteroletnim, chrztem krwi męczeńskiej obmyta na Pradze, ciągnąca się jakby bojem widm pogrzebowych w Legjonach. Dramat to dziejowy, do którego aktorów nie podobna się nie przywiązać, i nie można ich nie pokochać; — cienie tych bohaterów, tym dla nas droższych, że nie wywalczyli nic oprócz czystej sławy poświęcenia i szli na zabój jako rzymscy gladjatorowie na śmierć — wracają nieustannie w podaniach narodu — ZAWSZE ONI. Potrzeba było zmyć ohydę imienia książęcia Adama, podskarbiego i marszałka sejmu, ówczesnych prymasów przez Rossją płatnych i Deputacji, rozszarpującej sieroce mienie Rzeczypospolitej — czystemi i pięknemi imiony, takich ludzi w siermiędze i ubóstwie idących do walki jak Kościuszko, jak Madaliński, Dąbrowski, Kopeć, jak Ignacy Potocki. Tę to epokę maluje opowiadanie Suffczyńskiego, któremu wtóruje Wincenty Pol..... Od przysięgi na Krakowskim Rynku aż do wyprawy na S. Domingo, mamy tu szereg obrazów, którym za podstawę służyły podania narodowe, malujące życie publiczne i prywatne Polski w końcu 18 wieku, wieje z nich duch tej chwili odrodzenia, ekspjacji, poświęcenia bez miary, a najostyglejsze serce niepodobna by nie uderzyło na odgłos tej zagrobowej pieśni. Obok przejętego podaniem domowem opowiadania staje na równi z niem w żadnem jeszcze z dzieł u nas wydanych niewidziane bogactwo illustracji, mistrzowską ręką Kossaka skreślonych. — W blasku ich sam tekst nabiera podwójnej życia potęgi. — Artysta, można śmiało powiedzieć, w rysunkach tej Kościuszkowskiej i Legjonów epoki, przeszedł sam siebie. — W każdym domu, na każdym stoliku, w każdej bibliotoczce, powinniby się znaleźć ci — ZAWSZE ONI, dla których miłość zachował naród niezłomną. Jestto karta dziejów żałobna; lecz którą się pochlubić możemy. O żadnej też naszych dziejów epoce nie pisali tyle cudzoziemcy, żadna nam tyle zaszczytu i uznania nie przyniosła. Musiano się dziwić tej walce, wycieńczonego i rozbitego narodu przeciwko trzem olbrzymom w walce podobnej do bajecznej epopeji.... Niepotrzebujemy przypominać czytelnikom polskim talentu autora, znanego z niewielu ale przedziwnych opowieści staro-szlacheckich, ani zalecać im Wincentego Pola i Kossaka. Jesteśmy przekonani, że ukazanie się pierwszych stronic powieści tej, usprawiedliwi zupełnie staranie, z jakiem pragnęliśmy z tej spuścizny po dwóch zmarłych poetach, uczynić monumentalną księgę pamiątek...."

— Lady Chantry, żona zmarłego przed 30 laty Sir Francisa Chantry, znanego rzeźbiarza angielskiego, zapisała obecnie królewskiej akademji w Londynie sumę 60.000 fnt. szt., z której procenta użytemi być mają na zakupno utworów angielskich malarzy i rzeźbiarzy.

— Król bawarski kupił za 35000 guldenów obraz Pilotego, „Tusnelda" który na wystawie wiedeńskiej pewszechną zwracał uwagę. Obraz ten będzie pomieszczony w prywatnej galerji królewskiej w Monachjum.

— Donosiliśmy swego czasu, że w Wenecji zaczęto restaurować bardzo wiele dzieł architektonicznych, które czas uszkodził. Otóż możemy teraz donieść że sama restauracja pałacu Dożów będzie kosztowała przeszło pół miljona franków. Wydatki na ten cel mają być pokryte ze skarbu publicznego.

— Profesor P. A. Munch, niedawno zmarły historyk norwegski, złożył w swoim czasie w królewskiem archiwum w Christjanji opieczętowany pakiet, zawierający w sobie obszerne uwagi o literackich skarbach, które Munch w czasie historycznych szperań swoich po bibliotece watykańskiej, tamże odkrył. Ponieważ zaś tę swobodę poszukiwania zawdzięczał bibliotekarzowi papieskiemu, Ojcu Theinerowi, żądał tedy Munch, ażeby pakietu, który składa, nie otwarto i z wiadomości w nim zawartych publicznie nie skorzystano — aż po śmierci O. Theinera. Teraz gdy ten warunek się wypełnił, odkrycia Muncha stanowiące treść pakietu, w zupełnym zbiorze dzieł jego ogłoszone zostaną.

— 27 stycznia zaczęła się w Paryżu w Hotel des Ventes licytacja sławnego, szczególniej hiszpańskiemi utworami, zbioru obrazów bankiera Salamanca. Dochód pierwszego dnia z 61 obrazów przyniósł 188 300 fr. Za Murilla „Świętą Różę z Lima" zapłacono 20.000 fr. Za dwa Rubensy „Śmierć Achillesa" i „Gniew Achillesa" razem 33.200fr.; pięć Goyenów poszło w cenie 7500—5300 fr. za sztukę; za marinę, powszechnie przypisywaną Cuyps'owi zapłacono 6000 a za walkę kogutów Snyder'sa 7.200 fr.

— Wedle „Athenaeum" znany angielski poeta Browning, napisał nowe dzieło: „Apologję Aristofanesa." Znajduje się ono obecnie jeszcze pod prasą. W Londynie również a jednocześnie i w Nowym-Yorku pojawiło się dzieło pod tyt. „Fu Sang, czyli odkrycie Ameryki przez chińskich kapłanów Buddy w V. wieku po Chr."

— Profesor Fiorentino odkrył w jednej z bibliotek rzymskich niezmiernie ważne a dotąd zupełnie nieznane dzieło filozofa Campanelli. Jestto rękopis złożony z 200 str. a traktujący o reformacji i czasach Lutra. Bliższe wiadomości o tem odkryciu podaje „Giornale Napoletano."

— Zaiste wiek nasz rzuca się na zagadnienia, których rozwiązanie wydawałoby się niemożebnem — i wychodzi z nich zwycięsko. Nie uśmiechnęliżby się astronomowie pokoleń, które nas poprzedziły, gdyby kto im mówił o oznaczeniu wagi pewnej gwiazdy. A jednak na jednem z ostatnich posiedzeń Akademji Umiejętności paryskiej dokonano tego cudu wiedzy. Znany astronom Kamil Flamarion, oznaczył na podstawie najgruntowniejszego rachunku wagę maleńkiej, ledwo widzialnej gołem okiem gwiazdeczki z konstellacji Opchiuchus. Z rachunku tego wypada, że gwiazdka ta waży trzy razy więcej niż słońce a miljon razy więcej niż ziemia! Znajduje się ona w oddaleniu 56 tysięcy miljardów mil od nas. Kula armatnia, która doszłaby w 6 latach do słońca, potrzebowałaby 8,400.000 lat do przebiegnięcia przestrzeni dzielącej nas od tej gwiazdy, zważonej z łatwością przez astronoma.

Komunikacje.

— Z Konstantynopola będzie w krótce prowadziła najkrótsza droga przez Lwów na zachód Europy. Rumuński dziennik „Epoche" pisze w tym przedmiocie: Trudności, jakie stoją na przeszkodzie budowie drogi żelaznej przez Bośnię, ku granicy austro-węgierskiej, oraz okoliczność, że kierunek kolei w Serbji nie jest jeszcze stanowczo ustanowiony, każą przypuszczać jako rzecz pewną, że pierwszy pociąg parowy, który z Zachodu Europy bez przerwy podąży do Konstantynopola, weźmie kierunek nie na Bośnię, lecz na Rumunję. Pomiędzy Konstantynopolem a Adrjanopolem droga żelazna jest już wybudowana; na ukończeniu prawie jest także droga żelazna wiodąca na Ruszczuk i Warnę; pozostaje więc jeszcze tylko do wybudowania na przestrzeni 40 kilometrów długiej droga żelazna z Jamboli do Szumli, ażeby dokonanem zostało połączenie Konstantynopola na Szumlę, Ruszczuk, Bukareszt, Galacz, Lwów, Kraków, Wiedeń z Zachodem. Jakkolwiek nie będzie to najprostsza droga żelazna z Zachodu na Wschód Europy, to jednak nie ulega wątpliwości, że zanim wybudowane zostaną koleje bośniackie i serbskie, handel nią wyłącznie posługiwać się będzie.

— Pomiędzy Perą i Galatą w Konstantynopolu otwartą została kolej podziemna. Ma ona 614 metrów długości i wychodzi z nadbrzeża bosforskiego wznosząc się wciąż od 1 do 10 metrów, aż do najwyższego punktu nad Pera, który wynosi 61 metrów. Największa jej głębokość pod poziomem wynosi 25 metr. Przyrządem wprawiającym ją w ruch jest stała parowa łańcuchowa maszyna. Inżynier główny i posiadacz koncesji są Francuzami; towarzystwo zaś składa się z Anglików.

— Rząd perski udzielił rossyjskiemu jenerałowi Falkenhagenowi koncesję na budowę kolei z Tauris aż do granicy rossyjskiej. Przeciw temu założył protest baron Reuter, posiadacz koncesji dawniej udzielonej i zagwarantowanej przez rząd brytański.

Statystyka.

— Rząd japoński ogłosił w tych czasach rezultat spisu ludności swego kraju z r. 1872. Wedle tego wykazu cała ludność Japonji wynosi 33,110.825 mieszkańców — z których 16,796.158 osób płci męzkiej, a 16,314.158 płci żeńskiej. Japonja więc przedstawia proporcję całkiem odmienną od wszystkich państw Europy u nas bowiem wszędzie liczba kobiet przewyższa liczbę mężczyzn. Uprzywilejowana arystokracja japońska mieści w sobie 14 książąt, 15 księżniczek i 2666 szlachty rozmaitych stopni. Ilość duchowieństwa jest bardzo znaczna: w usługach Buddhy znajduje się 221.467 kapłanów, mnichów i zakonnic, — bóstwo Shinto ma na swoje usługi 102.477 osób. Rolnictwem zajmuje się 14,870.426 ludzi, — z których 6,866.412 kobiet. W ogólności płeć słaba objawia w Japonji daleko większą ruchliwość niż u nas. Obliczono, że 489.409 domów handlowych prowadzą same kobiety.

Nekrologja.

— Jean François Millet, niepospolitych zdolności malarz, uczeń sławnego Pawła De laroche, zmarł we Francji d. 20 stycznia. Był on synem wieśniaka z Glaville i całe życie ubierał się jak wieśniak. Talentem zbliżał się najwięcej do Rembranta. Zmarły liczył lat 60. Na pogrzebie, który się odbył w Barbigon byli prawie wszyscy znakomitsi artyści, zamieszkali w Paryżu.

ROZMAITOŚCI.

— Szybkość biegu, będąca u nas w człowieku nie tak znowu nadzwyczajnie zaszczytną zaletą, u starożytnych w nader wysokiej była cenie. Hellenowie zachęcali i obdarzali znakomitemi nagrodami odznaczających się biegunów i przechowali w dziejach swoich imiona kilku z nich dla nieśmiertelności. Kto na trzech Olimpjadach ośmkroć zwycięztwo odniósł otrzymywał zaszczytny przydomek „Rumaka“ inny za zwycięztwo na czterech Olimpjadach pozyskał chlubny epitet „Strusia“ Ladas, wiatronogi Spartanin, wieniec zwycięzki życiem opłacił i przez słynnego rzeźbiarza Myrona w marmurze uwiecznionym został. Widzimy go jak w ostatniem i najwyższem wytężeniu, pełen nadziei zwycięztwa, z wyprężonemi muskułami i duszą uciekającą mu już z piersi wraz z oddechem—staje u mety, aby ledz przy niej trupem. Statuę tę porywającą wyrazem prawdy i życia obaczyć można w muzeum neapolitańskiem. Od tego bieguna wyżej o wiele stoi drugi Philippides albo Phideppides, bo w usługach ojczyzny zginął. Był to ów bohatyr, który, jeśli mamy wierzyć poetycznej legendzie, przyniosłszy wieść o zwycięztwie pod Maratonem, ducha wyzionął z wytężenia i pośpiechu. Poprzednio zaś zwołując związkowych przebiegł przestrzeń dzielącą Ateny od Sparty 30milową w dwóch dniach. Przewyższył go jeszcze Euchidas Platejczyk, który po bitwie pod Plateą, gdy Persowie święty ogień skalali, po czysty płomień do Delfów posłanym został. 1000 stadjów wynosiła droga tam i napowrót. Euchidas przebył ja w jednym dniu i doniósłszy głownię świętą do miejsca przeznaczenia. padł trupem. Aeschines, znany mąż. stanu odznaczał się także w młodości swojej niezmierną szybkością biegu. Obdarzono go jednozgodnie wieńcem złotym za niesłychany pośpiech z jakim przyniósł do Aten wieść o zwycięztwie pod Tamyne. Jak widzimy tedy wartość jaką przywiązywano do talentu szybkobiegostwa u starożytnych, opierała się nietylko na popędzie do męzkich ćwiczeń, ale także. i nawet szczególniej, na użyteczności szybkobiegów, jako gońców w sprawach wojennych i państwowych. Mówiąc o biegu, wspomnieć tu także musimy o arcypoetycznym greckim obyczaju wyścigów z pochodniami. Kto potrafił pierwszy płonącą pochodnię donieść niezagaszoną do mety, zwyciężał. Wyścigi te odbywały się tylko w nocy, na cześć bóstw rozmaitych. Na jednej z waz starożytnych w muzeum florenckiem ujrzeć można dwóch takich młodzieńców, z okrągłemi tarczami i pochodnią w rękach biegących o zakład; na innem naczyniu Bogini zwycięztwa. Nike, wieńczy jednego z trzech takich zapaśników.

— Pożycie małżeńskie u ptaków przedstawia zadziwiające podobieństwo do ludzkiego. Okrom drobnych wyjątków, żyją wszystkie ptaki w dozgonnem jednożeństwie, jak to na krukach, srokach, gołębiach i wróblach sprawdzić można. Do najbardziej nierozdzielnych ptaków należą tak dzikie i płochliwe kanie. Bardzo wiele latawców wiąże się w mniejsze, lub większe gromady za zbliżeniem zimy, ale i wtedy nawet pojedyńcze pary wiernie się trzymają społem. U innych znowu przelotnych ptaków łączą się samcy i samice w oddzielne gromady i tak wyciągają w drogę, na wiosnę jednak pary należące do siebie odnajdują się znów i łączą. Pastor Snell, pilny i bystry badacz ptasiego rodu tak mówi o małżeństwie u ptaków: Porą zawierania małżeństwa jest u ptaków zwyczajnie wiosna. Jakie pobódki kierują wyborem obu płci równie trudno odgadnąć jak u nas w podobnym razie. Najczęściej rządzi tu prosty przypadek, lub jeżeli wielu konkurentów o jedną piękność się dobija „prawo mocniejszego“ rozstrzyga. Często jednak wtedy nawet, gdy przeważna liczba samic się znajduje (co zresztą rzadką jest rzeczą, u ptaków bowiem zwyczajnie płeć męzka liczniejszą bywa) wtedy nawet zazdrość zapala gwałtowne pomiędzy rywalami bitwy, W małżeństwach za to rzadko się zdarza niezgoda. Samiczka bowiem poddaje się woli samca, bez rezerwy. Tam nawet, gdzie samiec błąd jakiś popełni, posłuszeństwo samicy bywa wzorowem. I tak naprzykład, przy wyborze miejsca na gniazdo—co zawsze do samca należy—częstokroć się zdarza, szczególniej u wróbli i gołębi, iż samiec z głupoty lub trwożliwości wybierze najniewłaściwsze miejsce. Samica tem się nie zraża, znosi materjał natychmiast, chociaż by to z największemi trudnościami połączonem było. U kań tylko zachodzą niekiedy sprzeczki, ale nigdy aż do bójki pary małżeńskiej nie doprowadzają. Cnotę wiernośoi małżeńskiej uznać należy we wszystkich w jednożeństwie żyjących ptakach. Nie obiedwie jednak płcie w równej mierze nią się odznaczają. Ze strony samiczek Snell przy najtroskliwszej obserwacji ani jednego wiarołomstwa nie spostrzegł, u samców zaś, choć bardzo rzadko zauważył jednak małżeńską zdradę. Jeżeli się rozważy, że samiczka z natury bojaźliwością i wstrzemięźliwością obdarzoną została, różnica ta w czystości obyczajów jasną się dla nas okaże. Co do rozwodów przytrafiają się one tak samo u ptaków, jak pomiędzy ludźmi, rzadziej jednak i przeważnie z inicjatywy samic. Gołębie rozdzielają się tylko wtedy, jeżeli małżeństwo ich było dziełem przymusu ze strony ludzkiej; nie własnej ich dobrej woli. Zwykle przypadek ten zachodzi także, jeżeli gołębica do cudzego gołębnika zwabiona, szczęśliwym losem dawnego swego towarzysza napotka. Wówczas nowego rzucać zwykła. U dzikiego ptactwa rozwody nie istnieją wcale, wywarcie bowiem na nich przymusu jest nie możebnem.

— Zabawy karnawałowe publiczne pozostawiają po sobie często śmieszne, kiedy niekiedy tylko wesołe i miłe, a czasem bardzo nieprzyjemne wspomnienia. Zdarzenie następne na przedostatniej maskaradzie Odeonu w Paryżu sprawdza przysłowie: „iż nie wszystko złoto co się świeci“ i że ostrożność nawet w zabawach nie jest zbyteczną. Pan L. ajent handlowy, po całotygodniowej korzystnej pracy, chciał się rozerwać trochę i zobaczyć tak sławione w tym roku bale maskowe Odeonu. W przedostatnią zatem sobotę w dniu 30ym Stycznia, około godziny 11ej wieczorem, ubrawszy się jak najwykwintniej, ze złotym zegarkiem, przy którym łańcuch duży, gruby, złoty, odbijał świetnie przy czarnej aksamitnej kamizelce, ze szpilką brylantową wpiętą w koszulę, palce mając ozdobione kilku sygnetami, wszedł do rzęsisto oświetlonej sali, rokując sobie, iż wkrótce stanie się celem jakiej intrygi, która go rozerwie i zabawi. Przechadzał się już od paru godzin po ogromnej sali i zaczynał nieco ziewać, mówiąc sobie w duchu, że nie tak bardzo są zabawne, jak to opisują, bale maskowe, — gdy w tem zaczepiony został przez jakieś czarne domino, którcgo wysmukła kibić, mała i pulchna rączka, kształtna nóżka a przytem piękna wymowa wskazywały, że przebrana dama należała do wysokiego towarzystwa. Prosiła go o podanie jej ręki, bo czuła się znużoną, a przybywszy sama na maskaradę, miała jeszcze przeszło godzinę czasu do przepędzenia, nim nadjedzie jej powóz, któremu dopiero około 4ej po północy kazała przyjechać. Po półgodzinnej przechadce i rozmowie pełnej uroku dla pana L., ośmielony nieco ofiarował swej uroczej masce kolację; lecz oburzono się bardzo na taką propozycję, dając do zrozumienia, iż nie wiedział z kim miał do czynienia, co jeszcze większe wzbudziło mniemanie w panu L. o wysokiem pochodzeniu czarnego domina. Przyjęto zaledwie dla ugaszenia pragnienia szklankę lemonjady i w tej chwili pan L. miał sposobność ukradkowo ujrzeć z pod maski część młodej i świeżej twarzyczki. Gdy się zbliżała trzecia godzina, czarne domino zdawało się coraz więcej zajęte swoim kawalerem i ośmielało go widocznie do oświadczenia i gotowości w odprowadzeniu do domu, a gdy w tem okazał gorącą chęć pan L. odpowiedziało domino, że furman i lokaj są bardzo przychylni i jest pewną iż jej nie zdradzą, lecz obawia się jedynie niedyskrecji swego przewodnika, którego, idąc za popędem sympatji, — co może nawet było nierozsądnem z jej strony, — na ten wieczór wybrała... a cóżby w takim razie świat, w którym ona żyje powiedział?.. Po długich jednak zaklinaniach pana L. o swej największej dyskrecji, pozwoliła nareszcie maska na odprowadzenie siebie do domu, ale pod jednym warunkiem, że jak tylko wsiądą do powozu, pan L. da sobie zawiązać oczy i nie zechce spróbować zdjęcia zasłony, aż na miejscu. Przy wyjściu z sali balowej, lokaj galonowy podał swej pani okrycie a przywoławszy powóz ozdobiony wspaniałemi herbcmi, wsiadło czarne domino z uszczęśliwionym panem L., którego te zewnętrzne oznaki bogactw utrwaliły w przekonaniu, iż został bohaterem niepospolitej jakiejś intrygi. Po zatrzaśnieniu drzwiczek od powozu, gdy konie ruszyły, nastąpiło umówione zawiązanie oczów panu L... Zdziwiło go wprawdzie trochę zamocne ściśnienie głowy i niezwykle długa robota delikatnych rączek około supełków; lecz wierny przyrzeczeniu nie starał się bynajmniej wiedzieć, gdzie go wiozą, tłumacząc sobie, iż maska jego musi zajmować wysokie stanowisko w świecie, skoro taką tajemnicą stara się otaczać. Powóz toczył się szybko, a jednakże blisko godzina upłynęła nim stanęli na miejscu, gdzie przy wysiadaniu czarne domino, przekonawszy się dokładnie, czy zasłona na oczach była szczelnie przywiązaną, podało rękę panu L.., ostrzegając jak i gdzie ma stąpić. Wszedłszy po kilkudziesięciu schodach na górę, zadzwoniono, drzwi się otworzyły i wprowadzono pana L... Tam zdjęto mu nareszcie zasłonę z oczu, lecz cóż zobaczył?... Oto zamiast młodej i pięknej damy którą sobie wyobrażał, przez cały czas przechadzki w sali balowej i w powozie,... ujrzał trzech silnie zbudowanych bandytów, którzy z rewolwerami wymierzonemi, uzbrojeni przytem w sztylety, rzekli mu ponurym głosem: — Jeżeli piśniesz słówko, nie wyjdziesz ztąd żywy. Daj się dobrowolnie obedrzeć z tego co posiadasz, a my darujemy ci życie, zawiążemy powtórnie oczy i zawieziemy na pola Elizejskie. -- Nie miał pan L... co innego do wyboru, jak usłuchać ich rady i dać się kompletnie obedrzeć z pieniędzy, z zegarka ze złotym łańcuszkiem, ze szpilki brylantowej, z pierścionkiem i t. d; poczem według przyrzeczenia zawiązawszy mu oczy, sprowadzili na dół, wsadzili do powozu i zawieźli na rond-point pól Elizejskich, gdzie wysadziwszy go, zanim mógł zerwać mocno przywiązaną brudną szmatę z oczów, powóz z niezwykłą szybkością odjechał i znikł w jednej z alej. Pobiegł wprawdzie pan L. złożyć deklarację ze swej nieszczęśliwej przygody do najbliższego bióra policji na przedmieściu St. Honoré, ale nie mógł wskazać ani ulicy, ani nawet dzielnicy miasta w której bandyci tak haniebnie go obdarli.

— W Ameryce odbył się arcyciekawy pojedynek między dwoma pełnej krwi murzynami, z których jeden wmówił w siebie że jest Szkotem, a drugi że jest Irlandczykiem. Szkocki murzyn powiedział jednego dnia irlandzkiemu że nie jest gentelmenem. Któryż Irlandczyk pozwoliłby sobie coś podobnego bezkarnie powiedzieć. Irlandzki murzyn, który był bardziej Irlandczykiem niż prawdziwy Irlandczyk, zamiast się wyboksować, poprosił murzyna kaladyńskiego o naznaczenie czasu i miejsca. Blair, murzyn szkocki, z prawdziwie szkocką krwią prosił o przysłanie sekundantów. Stało się według jego woli i dwaj murzyni jednego pięknego dnia stanęli naprzeciw siebie, każdy z rewolwerem pięciostrzałowym. O siódmej z rana rozpoczęli ogień, i strzelali do siebie, aż dopóki im nie zaczęło brakować nabojów. Nareszcie Suliwan, murzyn irlandzki, wpadł na myśl, że przeciwnik jego nie wart tyle prochu, i począł sztrzelając, brać go na cel. Trzeci strzał, padł już blisko przeciwnaka, czem zachęcony Irlandczyk, wymierzył w głowę Blaira i trafił go rzeczywiście — w łydkę. Poczem wspaniałomyślny Sulliwan oświadczył, że się stało zadość jego honorowi, a wyrachowany Szkot wyznał również, że jest zadowolony — i na tem nareszcie skończył się pojedynek.

Odpowiedzi Redakcji.

Z. D. z nad Sanu. Szarad ani łamigłówek nie umieszczamy. Co do przysłanych nam poezyj, to jedna z nich „Dla nowonarodzonych“ wyszczególnia się pięknemi myślami, ale niestety nie zbyt poprawna forma nie odpowiada całości. Mimo to radzimy pracować dalej w tym kierunku. Przecież nie od razu Kraków zbudowano, a talentu nie brak.

Dr. M. w Krakowie. Nie z naszej winy, ale z braku miejsca; resztę listownie.

Ganimedes we Lwowie. Wydawanie „Tygodnia“ dwa razy na tydzień w numerach arkuszowych jest trudne z dwóch powodów: najpierw pojedyńcze artykuły byłyby nadto rozbite, a powtóre stempel dziennikarski i wysyłanie na prowincję powiększyłyby koszta wydawnictwa o kilka tysięcy rocznie. Co do dalszych uwag to są one nasze, jakby podsłuchane. Właśnie postanowiliśmy to uczynić co Pan radzisz. Za uznanie i serdeczne słowa zachęty szczerze dziękujemy.

Treść Nr. 7.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego),